



Rok XVI  
41 (830)  
CENA 1.50 ZŁ.

14.10.73



# ODGŁOSY

TYGODNIK SPOŁECZNO • KULTURALNY



Dnia 12 października 1943 na białoruskich polach między wsiami Sysojewo i Lenino Pierwsza Warszawska Dywizja Piechoty im. Tadeusza Kościuszki dowodzona przez gen. Zygmunta Berlinga po raz pierwszy wzięła udział w walkach przeciwko wojskom hitlerowskim.

W ten oto suchy, encyklopedyczny sposób zanotować można historyczny fakt, od którego rozpoczynają się dzieje Ludowego Wojska Polskiego...

TRZYDZIEŚCI LAT TEMU...

JERZY WILMAŃSKI

## PARTNERZY

„Samorząd mieszkańców powinien mieć zagwarantowany wpływ na problemy zagospodarowania miejsca zamieszkania, jego wyposażenie w sieć handlu, gastronomii, służby zdrowia, placówek kulturalnych, oświatowych, opiekuńczych i sportowych.

Samorządowi należy nadać uprawnienia do kontroli funkcjonowania administracji domów mieszkalnych, działających w rejonie osiedla placówek usługowych, handlowych i wszystkich innych służących zaspokajaniu potrzeb mieszkańców”.

(Z uchwały Biura Politycznego KC PZPR)

O problemach samorządu mieszkańców w Łodzi czytaj na str. 3 w artykule WŁODZIMIERZA STOKOWSKIEGO pt. „PARTNERZY”.

## WYRUSZYLI ZNAD OKI

JAN POWAŁA

Kierowniczą siłą narodu polskiego w wojnie wyzwolenczej stała się utworzona przez komunistów polskich w tragicznych latach okupacji — Polska Partia Robotnicza, która kierując się leninowskimi zasadami internacjonalizmu, żywotnymi interesami narodu i narodową racją stanu Polski wysunęła jedynie słuszny i realny program wspólnej walki ze Związkiem Radzieckim i jego bohaterką Armią przeciwko hitlerowskiemu najeźdźcy. Konsekwentna realizacja tego programu doprowadziła do wyzwolenia kraju i ujęcia władzy przez lud, tworząc tym samym przesłanki wkroczenia Polski na drogę budownictwa socjalistycznego. Dla praktycznego realizowania hasła bezkompromisowej walki zbrojnej z okupantem PPR powołała do życia wiosną 1942 r. Gwardię Ludową. Była to zbrojna organizacja wojskowa, która pod koniec 1942 r. posiadała już na terenie kraju kilkanaście oddziałów i kilkadziesiąt grup wypadowych, przeprowadzających skuteczne akcje bojowe.

(Dalszy ciąg na str. 6)

# BILANS TRZECH LAT I PERSPEKTYWY

Nie kwestionując wysokiej rangi każdego kolejnego plenum Komitetu Łódzkiego partii, trzeba stwierdzić, że plenarne obrady z 5 października, miały znaczenie szczególnie doniosłe. Wyjątkowość ta wynika z faktu, że zamiast rozpatrywania wybranego aktualnie kierunkowego problemu — przedmiotem partyjnej debaty był całociowy bilans działania ostatnich 2,5 lat. Okres to ważny dla całego kraju, a dla naszego miasta szczególnie, gdyż lata te są konkretnym sprawdzianem realności (z możliwościami korekt w górę) planów bardzo ambitnych, a jeszcze bardziej trudnych.

Pierwsze trzydzieści miesięcy — pierwsze — a więc najtrudniejsze — potwierdziły w całej rozciągłości słusność linii partii przyjętej na VI Zjeździe. W tym czasie bowiem o 30 proc. wzrósł

— o 18 proc. Są to efekty materialne, ale osiągnięte zostały dzięki temu, że program partii stał się własnością całego społeczeństwa. Wzrosło zaufanie mas do polityki partii, zaufanie i niezbita przekonanie, że wytyczone przez VI Zjazd kierunki działania są jedynie słuszne, że jest to jedyna droga gwarantująca wzrost i szybki rozwój naszej ojczyzny.

W tej sytuacji — niekwestionowanego sukcesu politycznego i gospodarczego — oczywistym wydaje się wniosek, że stać nas na dalsze przyspieszenie rozwoju. Mimo trudności i napięć, które w naturalny sposób towarzyszą działaniom na

tak wielkie skale, musimy nadal dynamicznie rozwijać gospodarkę.

Tak też wynika z dokumentów przyjętych na plenarnym posiedzeniu KŁ PZPR. Z takim dorobkiem i zadaniami na przyszłość wystąpią na I Krajowej Konferencji Partyjnej delegaci łódzkiej organizacji. Dzisiaj można już z całym przekonaniem powiedzieć, że zadania zawarte w programie rozwoju i rekonstrukcji Łodzi zostaną zrealizowane, a w wielu punktach przekroczone. Istnieje również realna możliwość, że wielkość produkcji przemysłowej zaplanowana na rok 1975 będzie uzyskana o rok wcześniej. Podwojenie zaś w latach 71—74 potencjału budownictwa stworzy na przyszłość gwarantującą dynamizm rozwoju.

Przypomnieć również należy, że udział łódzkiej klasy robotniczej w banku „30 miliardów” wynosi 1,3 mld zł. Zrealizowano podjęte na apel partii zobowiązania już w ponad 96 proc. Dodatkowo produkcja, co również trzeba podkreślić, jest głównie przeznaczona na potrzeby rynku i eksportu, co w znaczny sposób poprawia równowagę rynkową.

Ten niewątpliwie optymistyczny bilans 2,5-letniej

działalności, stanowiący dobry punkt startu do następnego 2-letnia, nie jest wolny od zjawisk negatywnych, które nie zostały jeszcze w pełni przezwyciężone. Nie ukrywano ich na partyjnym forum.

Zarówno tow. Bolesław Koperski — I sekretarz KŁ, jak i towarzysze zabierający głos w dyskusji, przedstawili szereg przykładów osłabiających przyjęte tempo. Należy zaliczyć do nich m. in. niższe od średniej krajowej tempo przyrostu produkcji przemysłowej, zbyt powolny rozwój usług dla ludności. Przy dobrej realizacji inwestycji przemysłowych gorzej jest z budownictwem towarzyszącym i mieszkaniowym, zwłaszcza przy przekazywaniu do użytku efektów rzeczowych. Jeszcze kilkanaście łódzkich przedsiębiorstw wykonuje swoje zadania nierytmicznie. Poważnym problemem jest absencja nieusprawiedliwiona, zła gospodarka czasem pracy i przejawy rozluźnienia dyscypliny. Np. w II kwartale br. w łódzkiej gospodarce każdego dnia nie stawilo się do pracy 8,3 proc. zatrudnionych.

Umiejtna i racjonalna gospodarka kadrami, optymalne określenie poziomu zatrudnienia, to problem bardzo ważny. Kadr potrze-

ba nie tylko do nowych zakładów, ale również do rozwijających się usług. Jest to przede wszystkim możliwe na drodze zmniejszenia dotychczasowego zatrudnienia w przemyśle i w instytucjach, gdzie istnieją przerosty zatrudnienia. Ten moment szczególnie podkreślano w dyskusji: modernizacja i unowocześnienie przemysłu musi przynieść wielokrotnie większe efekty przyrostu produkcji, wzrostu wydajności pracy, a zatem radykalne zmniejszenie zatrudnienia, co pozwoli przygotować zawodowo ludzi przesuwać na inne miejsca pracy, do innych branż i usług.

„Stworzyliśmy takie warunki — powiedział tow. B. Koperski — by każdy mógł aktywnie uczestniczyć w procesie przeobrażenia naszej gospodarki, kultury, warunków pracy i życia. Pełna realizacja programu rozwoju Łodzi jest sprawą każdego mieszkańca miasta.” Chodzi więc o dalszy wzmocniony wysiłek polityczno-organizatorski 86-tysięcznej łódzkiej organizacji partyjnej, jak i całego społeczeństwa miasta, które realizuje swą historyczną szansę.

(JW)

## WYROK NA MARCHEWKI

W listopadzie ubiegłego roku ukazał się w „Odgłosach” mój dwuczęściowy reportaż „KOMU RADOŚĆ Z OSPALYCH POCIĄGÓW”, którego treścią była działalność kolejowego gangu z Marchewek — niewielkiej wsi w powiecie pajęczańskim. W latach 1969—1971, na odcinku pomiędzy Trębaczewem a Sadowcem, gang ten dokonał kilkunastu zuchwanych napadów na wagony towarowe, przetaczające się magistralą kolejową Śląsk — Porty. Łupem złodziei padły między innymi: kartony ryb mrożonych, pudełka szprotki, przyprawy kuchenne, zupy ogonowe w koncentracji, krzesła tapicerskie, buty młodziowe, kozaczki, wózki ręczne, beczka karbidu, bujane fotele, gwóźdźki budowlane itp. A więc nie wybrzydza! Brali, co popadło, dzieląc się łupem wedle starszeństwa, pokrewieństwa (gang składał się w zasadzie z trzech chłopskich rodzin) i wkładu pracy.

W związku z tym reportażem napłynęło do „Odgłosów” parę listów. Ostatni został przez redakcję wydrukowany 12 września 1973 roku. Pisało w nim:

„Dużo miesięcy temu wiele czasopism zapowiadało proces „kolejowy” gangu ze wsi Marchewki w pow. pajęczańskim. W tej chwili o procesie nie słychać (podobno przesłano akta do Katowic), a po wsi chodzą słuchy, że już się oskarżeni „wykupili, bo i mieli za co”. Do tych wieści wcale przyczynia się — po pierwsze — „więzienne wdowy” rozpowszechniając opinie, że ich mężowie są niewinni i będą zwolnieni, a po drugie — to fakt, że już kiedyś byli

sądzeni za kradzież węgla, lecz z powodu „małej szkodliwości społecznej” zwolniono ich od kary. Wszystko razem nie przyczynia się do poważnego traktowania wymiaru sprawiedliwości i daje precedens do pomawiania, że sprawiedliwość daje się przekupić, byle mieć za co.”

Procesu o kradzież kolejowej we wsi Marchewki nie widać, a do winy i kary „dorosli” już młodzi synowie jednego z oskarżonych, gdyż w kwietniu br. włamali się do trzech dobrze zamkniętych domów, zamieszkiwanych tylko w okresie 14. Pozabierali przy tym włamaniu rzeczy różnej wartości i sprawa ich jest już w sądzie dla nieletnich w Piotrkowie Trybunalskim.

Nie osądzeni sprawiedliwie ojcowie, to chyba także jedna z wielu przyczyn bez-

troskiego traktowania cudzej własności przez ich nieletnich synów.”

Autor tego listu (nazwisko i adres znane redakcji) nie był dostatecznie zorientowany w postępie sprawy. W czasie, kiedy ten list został wydrukowany, kończył się właśnie w łódzkim Sądzie Wojewódzkim dwutygodniowy bez mała proces przeciwko kolejowym złodziejom. W wyniku tego procesu Stanisław Zjawiony skazany został na 7 lat i 60 tys. złotych grzywny.

Henryk Siedlis — 6 lat i 40 tys.

Czesław Właziak — 4 lata i 30 tys.  
Józef Zjawiony — 4 lata i 30 tys.  
Antoni Zjawiony — 4 lata i 20 tys.  
Marian Kalwak — 4 lata i 20 tys.  
Marian Grunecki — 2 lata i 10 tys.  
Pozostałym oskarżonym wymierzono kary do 1 roku pozbawienia wolności. Poza tym w stosunku do Stanisława Zjawionego i Henryka Siedlisa sąd orzekł konfiskatę mienia w całości i pozbawienie praw publicznych na okres 3 lat.

Była to jedna z trudniejszych spraw, wymagająca od organów ścigania dużego nakładu czasu i pracy. Wyrok ten nie jest prawomocny, bo Prokuratura Wojewódzka wystąpiła o jego rewizję.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

## ZE ŚWIATA

- ▲ HARMONOGRAM 6 TYGODNI
- ▲ JAPOŃSKIE ZAINTERESOWANIE EUROPĄ
- ▲ PRZECIW ZBRODNIOM W CHILE

Uważna lektura doniesień agencyjnych ze świata wskazuje, że jesień przynosi na arenie międzynarodowej szereg wydarzeń dużej rangi. Obecnie ze szczególnym zainteresowaniem obserwowany jest przebieg prac II etapu Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy. Od tego tematu chcielibyśmy też rozpocząć przegląd międzynarodowych aktualności.

Pod koniec ub. tygodnia większość agencji odnotowała pomyślne zakończenie prac przez komitet koordynacyjny konferencji. Ustalił on harmonogram prac organów konferencji na 6 tygodni. W wyniku kompromisu — wszystkie komisje i podkomisje przystąpiły do merytorycznej dyskusji. I tak: podkomisje d/s pierwszego punktu porządku dziennego prowadzą dyskusję nad zasadami stosunków między państwami oraz drogami, prowadzącymi do zwiększenia zaufania, komisja ekonomiczna i jej podkomisje nad możliwościami rozwoju współpracy gospodarczej — Polska zaproponowała m.in. stosowanie w handlu klauzuli najwyższego uprzywilejowania, podkomisje do spraw trzeciego punktu porządku dziennego omawiają natomiast rozwój ogólnoeuropejskiej współpracy w dziedzinie kultury, oświaty, informacji oraz kontaktów między organizacjami i ludźmi. Fakt przejścia od dyskusji proceduralnej do merytorycznej świadczy o rzeczywistym postępie w obradach i dlatego odnotowany został w informacjach prasowych. Przypuszcza się, że w ciągu 6 tygodni odbędzie się co najmniej

200 posiedzeń, a więc, że rytm pracy organów konferencji będzie wysoki.

Przypominamy, że w tym okresie rozpoczyna się rokowania na temat redukcji sił zbrojnych i zbrojeń w Europie Środkowej. I choć nie pozostają one w żadnym bezpośrednim związku z europejską konferencją — w licznych komentarzach prasowych oba te fakty są łączone.

Miniony tydzień przyniósł także wiadomość, o włączeniu radzieckiej propozycji redukcji budżetów wojskowych (pisaliśmy o niej w ub. tygodniu) do porządku dziennego sesji Zgromadzenia Ogólnego.

Zważywszy, że z sumy ok. 200 mld dolarów, jakie świat wydaje rocznie na zbrojenia, ok. 80% przypada na wielkie mocarstwa, propozycja sugeruje zmniejszenie wydatków na te cele o ok. 16 mld dol. rocznie.

W ostatnich dniach wiele uwagi przykuwały również wizyty mężów stanu. Szczególne zaciętkawienie wzbudziła polityczna podróż japońskiego premiera Tanaki do trzech stolic: Paryża, Londynu i Bonn oraz zapowiedź złożenia przez niego wizyty w Moskwie.

Co miały na celu rozmowy Tanaki z Pompidou, Heathem i Brandtem?

Aktywniejsze włączenie Japoni do kształtowania stosunków międzynarodowych oraz lepsze ułożenie współpracy gospodarczej ze Wspólnym Rynkiem. Ta ostatnia nie kształtuje się najlepiej. Obroty handlowe z EWG są znacznie mniejsze niż ze Stanami Zjednoczonymi, chociaż kraje Wspólnego Rynku są największą potęgą handlową Zachodu. Komentatorzy piszą, że podróż Tanaki miała charakter rekonesansowy. Zanim bowiem Japonia mogłaby zbliżyć się do zachodniej Europy — muszą być rozstrzygnięte sprawy walutowe świata kapitalistycznego oraz przedyskutowane nowe zasady współpracy krajów paktu atlantyckiego.

Na największe wydarzenie w dyplomacji japońskiej uznaje się jednak moskiewską podróż Tanaki. Nie tylko dlatego, że będzie to pierwsza wizyta szefa rządu japońskiego od 17 lat, ale przede wszystkim dlatego, że oba kraje gotowe są rozważyć unormowanie swych stosunków. Może więc ona zapoczątkować proces zacieśnienia kontaktów. Przypomina się w związku z nią, że gdy w 1956 roku ówczesny

premier rządu japońskiego — Hatojama prowadził rozmowy w stolicy ZSRR — tenże gotów był podpisać traktat pokojowy. Pod naciskiem prawicy Hatojama nie przyjął jednak propozycji.

Wspomnieliśmy powyżej o propozycji ukształtowania na nowych zasadach współpracy „krajów atlantyckich”. Nowym szczegółem w tej kwestii jest oficjalne potwierdzenie przez Nixona, iż w ciągu trzech, czterech miesięcy przyjedzie do zachodniej Europy. Dokładny termin uzależnia on od postępów w rozmowach na temat deklaracji zasad, określających przyszłe stosunki USA na płaszczyźnie politycznej, wojskowej i gospodarczej z europejskimi sojusznikami. Ale Nixon stwierdził, iż zdaniem Kissingera postępy w tych rozmowach są szybsze niż oczekiwano i dlatego jego podróż będzie możliwa w takim czasie.

Przebieg aktualnych wydarzeń kończymy powrotem do sytuacji w Chile.

Ostatnie dni przyniosły nową falę doniesień o krwawym terrorze, jaki tam zapanował. Więzi się tysiące ludzi, setki skazują na śmierć, na ulicach Santiago de Chile płoną książki postępowych pisarzy... Wśród uwieczonych jest sekretarz generalny KC KP Chile — Luis Corvalan. Jego życiu grozi poważne niebezpieczeństwo. Przeciwno krwawym represjom i w obronie życia Corvalana występują tysiące ludzi. I sekretarz KC PZPR wystąpił depezę do sekretarza generalnego ONZ. W depeży do K. Waldheima Edward Gierek pisze:

„W obliczu nieustającego zagrożenia życia Luisa Corvalana zwracam się do Pana, Panie Sekretarzu, o podjęcie dalszych kroków, które uniemożliwią skazanie tego płomiennego patrioty chilijskiego.”

Pańska działalność, poparta solidarnym głosem protestu i potępienia światowej opinii publicznej winna powstrzymać tych, którzy zadają gwałt wielkim ideałom wolności, demokracji i postępu.”

Junta wojskowa ma na swym sumieniu już wiele istnień ludzkich i zbrodniczy krąg jej działalności musi być przerwany.

W. SŁAWSKI



ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, CELINA PALUCH (redaktor techniczny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji), MAREK WAWRZKIEWICZ.

Stale współpracują: KAROL BADZIAK, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, EWA NURCZYŃSKA, JANUSZ SKOSZKIEWICZ, WITOLD SŁAWSKI.

## WŁODZIMIERZ STOKOWSKI

Wybory delegatów na osiedlowe i obwodowe konferencje wyborcze dobiegają końca. Następnym etapem — to konferencje wyborcze do samorządów mieszkańców.

Samorzady, powołane do życia na mocy Uchwały Biura Politycznego KC PZPR z maja br., otrzymały status prawny i szerokie uprawnienia, stając się w praktyce przedłużeniem rad narodowych. W miastach, w skali kraju, jeden radny reprezentuje około 501 mieszkańców.

W Łodzi, liczącej ok. 780 tysięcy mieszkańców mamy 520 radnych, a zatem jeden radny reprezentuje ok. 1500 mieszkańców miasta. W tej specyficznej sytuacji, przedłużenie systemu przedstawicielskiego rad narodowych na samorzady mieszkańców ma ogromne znaczenie dla szybszej realizacji postulatów ludzi pracy, dla wszechstronnego rozwoju miasta, stworzenia lepszych warunków dla inicjatywy i pracy społecznej w miejscu zamieszkania.

# PARTNERZY



Foto: Włodzimierz Paris

## ZGODNIE Z UCHWAŁĄ

VI Zjazdu Partii, samorzady mieszkańców jest jednym z ważnych elementów systemu politycznego państwa socjalistycznego.

„Samorząd mieszkańców — głosi Uchwała Biura Politycznego KC — powinien mieć zagwarantowany wpływ na problemy zagospodarowania miejsca zamieszkania, jego wyposażenie w sieć handlu, gastronomii, służby zdrowia, placówek kulturalnych, oświatowych, opiekuńczych i sportowych”.

I dalej:  
„Samorządowi należy nadać uprawnienia do kontroli funkcjonowania administracji domów mieszkalnych, działających w rejonie osiedla placówek usługowych, handlowych i wszystkich innych służących zaspokajaniu potrzeb mieszkańców”.

Samorzady, które są rozszerzoną formą demokracji socjalistycznej oraz reprezentantem interesów obywateli w najszerszym tego słowa znaczeniu, otrzymały takie uprawnienia. Określają je odpowiednie uchwały rad narodowych oraz zarządzenia ministrów ośmiu resortów i prezesów dwóch centralnych zarządów spółdzielczych. Zarządzenia precyzują obowiązki jednostek administracji państwowej i spółdzielczej wobec samorządów, jak również ich udział w działaniu, programowanym przez samorzady mieszkańców.

## WSPÓLDZIAŁANIE

Samorządów i ogniw administracji oraz instytucji spółdzielczych będzie odgrywać pierwszoplanową rolę w realizacji zadań samorządów, nakreślonych przez Biuro Polityczne KC. Bardzo moc-

no podkreśla się zależność efektywności działania samorządów od sprawnego funkcjonowania organów administracji. Znalazło to odbicie w dyrektywie dla ogniw administracji, w której mówi się o odpowiednim przygotowaniu organów administracji do wykonania obowiązków, jakie mają do spełnienia wobec samorządów mieszkańców.

„Trzeba tu z całym naciskiem podkreślić — głosi wspomniana dyrektywa — że skuteczność działania samorządu jest w dużej mierze zależna od stosunku aparatu administracyjnego do tego działania. Można powiedzieć, że sprawne działanie samorządu wymaga szczególnie sprawnego działania organów administracji. Dlatego, m. in., jest niezbędne odpowiednie przeszkolenie aparatu administracyjnego”.

Ponieważ znajomość rzeczy w tym przedmiocie dotyczy obu partnerów, zarówno ognia administracji i jednostki spółdzielczej, jak i samorzady, przeto tezy do dyskusji na konferencje wyborcze obejmują takie zagadnienia, jak zadania administracji we współdziałaniu z samorządami, realizację zadań społeczno-gospodarczych miasta, zadania samorządów mieszkańców, a w szczególności ich działanie w zakresie porządku i czystości w osiedlach, eksploatację i ochronę substancji mieszkaniowej, działalność wychowawczą i opiekuńczą oraz poprawę pracy handlu. Podczas konferencji wyborczych, na których będą także obecni przedstawiciele organów administracji i spółdzielczości, tezy te zostaną z pewnością wzbogacone o nowe treści, jako że uprawnienia i obowiązki samorządów obejmują znacznie szerszy zakres. W dziedzinie pracy samorządów i ich pozycji jako partnera administracji a także jednostek spółdzielczości, a więc

ADM, administracji domów

spółdzielczych, handlu itd., powinna istnieć pełna jasność.

## WPROWADZANIE NOWEGO

jest zawsze trudne. Początkowy okres tego współdziałania prawdopodobnie nie będzie usłany różami, tu i ówdzie wyłonią się mniejsze lub większe trudności, zadrażnienia kompetencyjne, nieporozumienia, kontrowersje. Zrozumiałe, iż konferencje wyborcze nie dadzą recepty na te wszystkie przeżyciowe niedomagania, niemniej, będąc niejako wprowadzeniem do praktyki współdziałania w terenie stanowią ważnym elementem późniejszej, efektywnej pracy samorządów. Dlatego też przygotowanie konferencji wyborczych do samorządów mieszkańców oraz ich przebieg powinny się znaleźć w centrum uwagi rad narodowych.

Samorzady mieszkańców są zasilane aktywnym FJN, Komitety Dzielnicowe PZPR kierują do pracy w organach samorządu mieszkańców operatywnych działaczy partii. Zostają także rozszerzone i wzmocnione Terenowe Organizacje Partyjne, do których oddelegowano działaczy partyjnych z zakładów pracy i instytucji.

Poza miejscem pracy, także miejsce zamieszkania, osiedle, powinno służyć dziełu umacniania kierowniczej roli partii, rozszerzaniu jej oddziaływania polityczno-wychowawczego, obywatelskiego zaangażowania, rozwijaniu inicjatywy i aktywności bezpartyjnych w budownictwie socjalistycznym.

## PRZENIKANIE STRUKTUR

Zwróciliśmy się do zastępy kierownika Biura Prezydialnego Prezydium RN m. Łodzi — mgr

EDMUNDA SMENDORA z prośbą o odpowiedź na kilka pytań, dotyczących pracy samorządów mieszkańców.

— W jakim zakresie pracy samorządów należy się liczyć z trudnościami w początkowym okresie ich pracy?

— Dość skomplikowaną sytuację mamy w statusie budownictwa mieszkaniowego. W Łodzi istnieją cztery sektory budownictwa mieszkaniowego: komunalne, zakładowe, spółdzielcze, w tym własnościowe, i prywatne. Rozwiązanie więc wspólnych problemów dotyczących mieszkańców budownictwa komunalnego i, na przykład, prywatnego będzie wymagało uzgodnienia nie tylko w ADM, lecz również w administracji domów prywatnych. Substancje mieszkaniowe mają bowiem różne statusy i różnych gestorów.

— Praca pewnej części ADM i administracji domów spółdzielczych jest przedmiotem nieustannej, i uzasadnionej, krytyki mieszkańców miasta. Czy samorzady będą mogły skutecznie wpłynąć na polepszenie pracy zarządców domami?

— Naturalnie. Status samorządów przewiduje, iż zarządcy domów są obowiązani zasięgać opinii samorządów mieszkańców w sprawach administrowania domami. Są one też uprawnione do stawiania zarządcom zarzutów z racji złego lub wręcz niedbalego wykonywania powierzonych im obowiązków. Uzasadnione zarzuty mogą spowodować poważne konsekwencje służbowe do zwolnienia z pracy włącznie.

— I słusznie, gdyż część zarządców nie dba o mienie narodowe wartości milionów i miliardów złotych. Ten absolutny brak niepokoju o powierzony im majątek dyskredytuje takich zarządców w oczach opinii publicznej, która na skutek ich indolencji czy nieróbstwa, przetrzeć uogólnioną krytykę na organa władzy państwowej. A to już jest zjawisko szkodliwe.

— Niewątpliwie.  
— A zatem nie ma obaw, żeby administracje domów mieszkalnych: kwaterek, wspólnot i spółdzielczych nie uznały samorządów za partnera?

— Nie ma takich obaw. Samorzady są dla nich równorzędnym partnerem.

— A na przykład dla sklepów PSS, czy rad osiedli budownictwa spółdzielczego?

— Także. Obie te instytucje muszą się liczyć z opinią samorządów. Określają to odpowiednie uchwały i pisma okólnie centralnych zarządów spółdzielczości.

— Czy samorzady powstaną we wszystkich osiedlach?

— Tak. W niektórych osiedlach, podzielonych na obwody samorząd mieszkańców będzie trzystopniowy: komitet domowy — komitet obwodowy — komitet osiedlowy. W Łodzi zostanie powołanych 50 komitetów osiedlowych i 165 komitetów obwodowych. Działają też komitety domowe w ilości ponad 4800.

— Jaki organ będzie czuwać nad pracą samorządów, koordynować ich współdziałanie z innymi organami władzy państwowej i rozstrzygać ewentualne kontrowersje?

— Dzielnicowa rada narodowa, w porozumieniu z dzielnicowym Komitetem Frontu Jedności Narodu, będzie ustalać wytyczne do pracy samorządu mieszkańców, dokonywać oceny ich pracy i czuwać nad przestrzeganiem uprawnień samorządu. Samorząd mieszkańców, podczas wykonywania swych zadań, będzie korzystał z fachowej pomocy właściwych jednostek dzielnicowej rady narodowej oraz Rady Narodowej m. Łodzi. Sprawy sporne, wynikłe pomiędzy samorządem mieszkańców a organami administracji, będą rozstrzygały dzielnicowe rady narodowe i ich organy.

— Do tych spraw powróciły jeszcze nie raz. Dziękuję za rozmowę.

# NIE TYLKO DZIEWCZYNA Z WARKOCZAMI

Proszę nie traktować tego, co tu teraz piszę jako felietonu okolicznościowego. Tak w zasadzie, to ja jestem przeciw wszelkiemu odjakowemu różnym rocznic, jubileuszom i tym podobnie. Po prostu uważam, że powinniśmy nas cieszyć przede wszystkim wyniki naszej pracy, nasze, faktyczne osiągnięcia, a nie tylko to, że jakaś tam instytucja skończyła 25 lat życia i działalności. Podziła drugie 25 i trzecie i może jeszcze okazać się, że już się przeżyła i przez te 75 lat istnienia była nieporozumieniem. I z czego tu się cieszyć przedwcześnie?

Ale są też sprawy, o których warto zawsze pamiętać, o których warto stałe pisać, mówić, niezależnie od tego, czy ludzie zajmujący się tymi sprawami akurat odczują kolejne swoje święto, czy też nie. Mam tu na myśli sprawy naszego porządku, dyscypliny społecznej i bezpieczeństwa. „Trybuna Ludu” i Telewizja Polska łączą we wspólnej akcji sprawy ładu i porządku ze sprawą gospodarności. Słusznie czynią, bo związki to oczywiście. A ja chcę tylko przypomnieć jeszcze, o związku tych spraw z bezpieczeństwem. Ludzie pracownicy i gospodarni muszą czuć się bezpieczni, muszą mieć świadomość, że wyniki ich pracy nie padną pastwą wandalów, złodziei czy nawet ognia, zaproszonego przez nieuwagę i bałagan. A więc muszą wiedzieć, że ktoś dobrze czuwa nad ich i wyników ich pracy bezpieczeństwem.

Była kiedyś taka piosenka, w której głosiło się, że aby ktoś mógł spokojnie spać, ktoś inny musi czuwać. Była to piosenka o żołnierzach WOP, a ja w tej chwili myślę o milicjantach. Oni też muszą czuwać, abyśmy nie tylko mogli spać spokojnie, ale i spokojnie chodzić po nie najlepiej jeszcze oświetlonych ulicach i zaułkach, spokojnie kontemplantować niebo w letnią noc na ławce w miejskim parku. A wiemy, że czasem taka kontemplacja może zakończyć się spotkaniem z przedstawicielami — jak to zwykliśmy nazywać — elegancko okraszając — społecznego marginesu, a mówiąc po prostu — bandziorami.

Utarł się u nas bardzo ładny zwyczaj, że kiedy zbliża się święto milicji, to do pracowników kompanii ruchu drogowego, do milicjantów pełniących swoją codzienną służbę podbiegają dzieci z kwiatami, a fotoreporterzy robią zdjęcia dziewczynom całującym milicjantów. Bardzo mi się to wszystko podoba. Milicjanci to też ludzie pracy — i to ciężkiej — należy im się ich święto bardziej niż komu innemu, ale poważanie i szacunek należy im się nie tylko w dniu, kiedy przypada kolejna rocznica powstania Milicji Obywatelskiej.

Prosiłem uprzejmie na początek, aby nie traktować tego, co tu piszę jako felietonu okolicznościowego. Proszę tę ponawiam. Mam bowiem zamiar powiedzieć kilka przykrych rzeczy, a tu właśnie minęła 29 rocznica powstania Milicji Obywatelskiej. Więc niby nie wypada. Ale przecież obowiązkiem felietonisty jest paść na poszczególne sprawy z innego punktu widzenia i dzielić się z Czytelnikami rezultatami takiego spojrzenia i wynikającymi stąd przemyśleniami. Tym bardziej, że chodzi mi o to,

aby o pracy milicjantów pamiętać nie tylko z okazji ich święta, ale i na co dzień.

Wyszedłem kilka dni temu z redakcji. Stałem sobie na ulicy. Jesienne słońce grzało nad wyraz mocno. Rozejrzałem się po ludziach i zobaczyłem, że wzdłuż ulicy Piotrkowskiej stoją milicjanci z gwizdkami i zwracając grzecznie uwagę tym, którzy próbują przechodzić jezdnią w miejscach ku temu nie przeznaczonych. A tu nagle wypada z bramy dziewczyna z warkoczami. Spieszy jej się widać bardzo, bo nie rozglądając się na boki wpada na jezdnię. Widzi to milicjant i gwizdże. Dziewczyna zatrzymuje się. Ale nie rezygnuje. Stwierdziwszy, że na ulicy nie ma żadnego pojazdu, a milicjant patrzy w inną stronę, rusza przed siebie. Gdzieś w polowie jezdni na ulicy Piotrkowskiej dopada ją dźwięk milicyjnego gwizdka. Udaje, że nie słyszy. Dumnie dochodzi chodnika i znika w pobliskiej bramie. Scena ta rozgrywała się na oczach wielu przechodniów. Patrzyli na to tak, jak i ja. Ktoś obok mnie powiedział nagle z zadowoleniem:

— Ale zrobiła go w konia! Wcale bym się nie śmiał, gdyby ta sama dziewczyna z warkoczami, zapewne uczennica któregoś z łódzkich liceów, w dniu święta milicjanta poszła do milicjantów w delegacji, z kwiatami.

Spoleczne uznanie i poparcie dla pracy milicji jest nam potrzebne nie tylko o święta. Jeśli mamy być społeczeństwem zdyscyplinowanym, pracowitym, a takim być musimy, to powinniśmy otaczać szacunkiem tych ludzi, którzy podjęli się troski o porządek i bezpieczeństwo. Tymczasem zdarzają się jeszcze przypadki, że milicjant przy wykonywaniu swoich obowiązków spotyka się nie tylko z obojętnością, ale i z wrogością. Ale kiedy nagle zagraża nam niebezpieczeństwo, to jakże łatwo zapominamy o uprzedzeniu do stróżów porządku i zgodnym chórem wołamy: „Milicja! Ratunku!”.

Nie chodzi mi o to, aby pojawienie się milicjanta budziło strach i grozę. Milicjanci już wielokrotnie udowodnili, że są takimi samymi ludźmi pracy jak my wszyscy, choć i wśród nich zdarzają się również tacy, których trudno nazwać wzorowymi funkcjonariuszami. Ale tymi we właściwym sposób zajmują się ich zwierzchnicy, a zdarzające się czasem takie zjawiska nie powinny wypaczać całości obrazu.

Myślę, że czas zrozumieć, że społeczna skuteczność pracy milicji w dużej mierze zależy będzie od naporcia nas wszystkich. Bardzo bowiem jeszcze nie lubimy porządku i mamy czasem za złe tym, którzy o niego dbają. I dlatego poddaję pod rozwagę Czytelnikom to nasze postępowanie. Proponuję zastanowić się, czy mamy rację i czy nam to wyjdzie na dobre.

Sam też nie jestem bez winy, bo te rozważania przysły mi do głowy właśnie dlatego, że obchodziliśmy kolejne święto milicji. Na przyszłość postaram się poprawić i wrócić do tematu bez takiej okazji. Dlatego jeszcze raz proszę, nie traktujcie tego, co tu napisałem jako rozważań okolicznościowych.

MARCIN RODAK



Od lewej: Karol Świerczewski, Aleksander Zawadzki, Michał Rola-Zymierski i Zygmunt Berling

## TRZYDZIEŚCI LAT TEMU...

12 października 1943 na białoruskich polach między wsiami Sysojewo i Lenino Pierwsza Warszawska Dywizja Piechoty im. Tadeusza Kościuszki, dowodzona przez gen. Zygmunta Berlinga, po raz pierwszy wzięła udział w walkach przeciwko wojskom hitlerowskim.

W ten oto suchy, encyklopedyczny sposób zanotować można historyczny fakt, od którego rozpoczynają się dzieje Ludowego Wojska Polskiego. „Pierwsza Warszawska Dywizja” — takie miano nosiła pierwsza jednostka Ludowego Wojska. Dzień później w odległej o setki kilometrów Warszawie hitlerowcy rozpoczęli akcję codziennych łapanek na skalę dotąd niespotykaną. Dwa dni później w odległej o setki kilometrów Warszawie w ruinach getta odbyła się egzekucja więźniów Pawiaka, przy czym po raz pierwszy podano przez megafony nazwiska ofiar... Trzy dni później przed domem nr 141 w Alejach Niepodległości w Warszawie hitlerowcy dokonali pierwszej egzekucji ulicznej jako nowej formy terrorku...

Ale nie już nie potrafiło zatrzymać bojowego marszu „Pierwszej Warszawskiej”.

Dzień 12 października 1943. Po latach wspomina ten dzień Włodzimierz Sokorski:

„O 6 rano natarcia. W pierwszej linii pierwszy batalion 1 pułku piechoty. Batalionem dowodził mjr Lechowicz i zastępca do spraw politycznych, por. Paziński. Żołnierze wyskakują z okopów i biegną nieprzerwanie strzelając. Mgła rzędnie. Rozpryskuje się w ogniu. Widać sylwetki biegnących. Pochyleni, skaczą przez brzozy. Coraz bliżej, coraz bliżej linii nieprzyjaciela. I wtedy lawina ognia z pozycji wroga. Pada mjr Lechowicz. Pada por. Paziński. Pada por. Kallnowski. Żołnierze ciągle biegną. Brną już przez rzekę. Po pas w błocie. Strzelają na oślep. Padają, pełzną, jeszcze jeden skok i batalion zalega w płytkim okopie. Ruszają do natarcia następne kompanie, bataliony. Drugi pułk i trzeci pułk piechoty. Pierwsza linia frontu zdobyta. Za nią druga. Ogień. Samoloty. Ziemia dygocze. Ruszają czołgi. Znowu nasza artyleria. Fizylerki prowadzą pierwszych jeńców. Grupa sanitariuszy. Zabici i ranni. Coraz więcej. Coraz ich więcej. Drugi batalion przypada do ziemi. Mija go w biegu batalion trzeci...”

Dywizja im. Tadeusza Kościuszki wykonała zadanie. Przerwała front.”

Cofnijmy się jednak wstecz — o równy rok. Inni — też polscy żołnierze — opuszczali rosyjską ziemię, aby do Polski wrócić „przez cały świat”, krwawiąc na frontach Włoch i Afryki. Ciężkie i bolesne było dla żołnierzy to odejście wykalkulowane w gabinetach polityków.

Aleksander Olszewski wspomina w swojej książce „Tropikalnym szlakiem Drugiego Korpusu”:

„Wyjechaliśmy punktualnie o godzinie siódmej w kierunku miasta Kuczun. Szosa prowadziła terenem górzystym z niedużymi serpentynami.

Po półgodzinnej jeździe ujrzelśmy z daleka budynek strażnicy i placówkę celną. Powitano nas życzliwie, zapraszając do środka. (...) Otrzymałem przepustkę na dwa samochody ciężarowe i trzydzieści osób, w tym siedemnaście wojskowych. Odjechaliśmy w kierunku wskazanym przez dowódcę strażnicy i po przebyciu pięciu kilometrów zobaczyliśmy posterunek dwóch żołnierzy radzieckich. Po odebraniu przepustki strażnicy podnieśli zapórę szosową.”

Za tym granicznym szlabanem zostały w Związku Radzieckim miliony Polaków, którzy chcieli walczyć, którzy do Polski chcieli iść najkrótszą drogą. Za tym granicznym szlabanem zostali polscy komuniści i ludzie polskiej lewicy, którzy nie opuścili rąk, nie chcieli, aby w tej wojnie rachunek polski się nie liczył.

„W tym czasie — pisze zmarły niedawno gen. Stanisław Popławski — do władz wojskowych Krasnowodsk zgłaszali się ludzie w polskich rogatywkach i furażerkach z polskim orłem. Byli to żołnierze i oficerowie, którzy nie chcieli odjeżdżać z Andersem (...). Wśród zgłaszających się był wysoki, barczasty podpułkownik o wyrazistych rysach twarzy, zmarszczonych, gęstych brwiach i jasnych, żywo patrzących oczach. Poruszał się powoli i nieco ociężale. Był to Zygmunt Berling, później jeden z wybitnych dowódców polskich (...)

(Dalszy ciąg na str. 6)

Przejeżdżamy do stolicy Litwy Radzieckiej od wschodu, prosto z Mińska Białoruskiego. Fantastyczny wjazd! Chciałoby się tak do naszej Łodzi wjeżdżać! Jeszcze przed Nową Wilejką, a jest to dzielnica Wilna, ziemia gwałtownie faluje, dolinami płyną czyste rzeczki, a góry pokryte puszystym lasem liściastym. A kiedy jakaś dolina, tuż przed Belmontem i Rosą rozdzieli góry to widać w delikatnej mgielce letniego poranka kremowe wieże kościołów, stare klasztory i gmachy.

Chciałoby się już w tym miejscu przypomnieć pieśni filomatów, tak mocno osadzone na tych pagórkach. W tych gajach.

„Bo gdzie się serca pałą,  
Cyrklem uniesień duch,  
Dobro powszechnie skala,  
Jedność większa od dwóch...”

Chciałoby się, lecz radziłbym pewną ostrożność, Wilno to niebezpieczne miasto, łatwo może zauroczyć, o bezwładni, a tak mocno w oczy wciśnie — swoje pałace, kościoły, wąskie uliczki starego miasta, zasypie je tak dokumentnie pamiątkami, dorobkiem wielu kultur, że przestaniemy w końcu dobrać widzieć, a przede wszystkim zrozumieć niezwykle rolę, jaką to miasto już w ciągu dziejów spełniło i spełnia nadal.

Na dworcu wita nas znakomity pisarz litewski Witold Petkiewicz nie tyle chlebem i solą, ile kieliszkiem sławnego już w Euro-

zamordowano 100 tysięcy wilan, w Nowej Wilejce około 60 tysięcy. W mieście pozostało niespełna 100 tysięcy mieszkańców. Słuchamy tych smutnych rejestrów, nie innych przecież niż nasze, słuchamy także o szybkiej odbudowie, tak samo jak u nas. Wilno jest wielkim ośrodkiem przemysłu maszynowego, elektrotechnicznego i elektrycznego, buduje obrabiarki, maszyny matematyczne, znane w całym świecie, telewizory, liczniki elektryczne, aparaturę wiertniczą, wytwarza meble, rozmaite masy plastyczne, materiały budowlane. 300 miast radzieckich kupuje towary wileńskie i 50 krajów świata.

Zaczęło się dość zabawnie. W prześlicznym zaułku, tuż przy Uniwersytecie „odkryliśmy” pięknie odrestaurowane podwórko gotyckie. Staliśmy długo przyglądając się strzelistym sklepieniom, delikatnym, misternym, póki nas kolega Petkiewicz nie zawezwał do restauracji w podziemiach, na tym samym podwórku. Zeszliśmy po bardzo krętych schodkach, bardzo też wąskich, na samo dno, do pomieszczeń, żywym wyjętych ze średniowiecznego zamku. Restauracja nazywa się — „Lokis”,

# MIASTO ZGODY NARODÓW

ZAPISKI Z MŁODEGO KRAJU

pie litewskiego kawałdosi. Nie chcemy siedzieć w hotelu, wola nam to miasto. Najpierw, to chyba jasne, słyszmy echa historii, może to są strofy Mickiewicza, czy Słowackiego, a może Syrokomli, może są to echa namiętnych wypowiedzi profesora Lelewela, braci Śniadeckich, może to są strofy, których zasiadał przez kilka lat Moniuszko, który właśnie w Wilnie napisał „Halke” i po raz pierwszy ją wystawił? Chodzę się przypomnia, powroty Kraszewskiego w te strony, kontakty Orzeszkowej z wileńskimi wydawcami, długi korowód nazwisk tak bardzo związanych z polską kulturą.

Ruszamy z kopyta na zwiedzanie. Wilno przekroczyło już znacznie liczbę czterystu tysięcy mieszkańców, w najbliższym czasie osiągnie połowę miliona. Petkiewicz, który jest dobrym historykiem, zna się także na malarstwie, architekturze, budownictwie, na czym on się nie zna, opowiada nam o Wilnie współczesnym. Widzimy zresztą piękne dzielnice w rejonie Zwierzynka i Snipskes (Zwerynas i Snipskes). Stoją smukłe kolorowe wieżowce na wzgórzach, jeden wychyla się spoza drugiego, a wszystkie w bukietach drzew. Zabudowa luźna, nie ma tu tasiemcowych bloków, ciągnących się na kilometry, smutnych, odbitych przez kalke. Litwini zdolnych mają architektów, bardzo nowoczesnych, a przede wszystkim czujących na to, co u nas postawione jest na głowie, czujących na wyposażenie wnętrza.

Z przemysłem to — oczywiście złudzenie. Jedna czwarta produkcji Republiki pochodzi z tego miasta. Rzecz w tym, że zakłady pracy tak zresztą pochowano w dolinach tak racjonalnie rozmieszczono, że ich prawie nie widać, a w każdym razie rybacy spokojnie zarzucają wędkę w samym centrum miasta, Wilja jest czysta i czysta Wilenka.

Tamtego lipca, w roku 1944 miasto płonęło, z dymem przeszło 40 procent domów mieszkalnych, faszyści zburzyli 80 zabytków najwyższej klasy spośród 180. Przemysł przestał istnieć, spładowano Uniwersytet, spłonęła słynna biblioteka Synodu Ewangelicko-Reformowanego, a z nią 20 tysięcy rękodzielniczych wydań z wieków XVI—XVIII. Na ponarskich wzgórzach, gdzie kiedyś improwizował Mickiewicz, a Zan mu odpowiadał,

Może dlatego nasz gospodarz z miejsca zaatakował polski film pod tym tytułem? Zabolala go ta filmowa dzika i prymitywna Litwa. My — to chyba jasne — zaślaniał się Prosperem Merimee, on winien, jeśli w ogóle ktoś jest winien. A nasz zadzierzasty Witold wciąż swoje — już w „Krzyżakach” Litwini źle wyglądają, teraz znowu nieszczerzą „Lokis”, jakże tak można przecieć tu już w średniowieczu kwitła przyzwoita kultura.

Tak to się między nami zaczęło, sporem może i nie takim znowu dramatycznym, a skończyło na wspólnym rozumieniu, czym jest Wilno, jako stare i wspaniałe miasto. Siedzimy w gotyckiej restauracji? Fakt, siedzimy i boimy się trochę wyjść po krętych schodkach, w głowie może się zakręcić. A Witold nam prawi o gotyku, mieszczańskich domach, zamkach i kościołach. A potem o wileńskim renesansie, wspaniałym baroku, tym ciężkim i tym zwiewnym, wreszcie o klasycyzmie. Któż to budował? Oczywiście — budowali Litwini, ale i Polacy nie mało zbudowali, przeciwnie, bardzo dużo. Budowali Białorusini, Rosjanie, Włosi, Niemcy, a jak się dobrze przyjrzeć znajdują się i Żydzi, a nawet Karaini i Tatarzy, w sumie wypadło około czterdziestu narodów.

Była to stolica wielkiej, międzynarodowej ufności i współpracy, — widocznej zwłaszcza na polu kultury. I rzeczywiście tak to jest, nawet na oko. Spacerujemy po mieście ulicą Gorkiego, główną arterią starego miasta, Pracują ręce robotników odsłaniają coraz to inne partie gotyku, dookoła wielkie porządky. A oto kościół Dominikanów, w uroczej bocznej uliczce. Przystajemy pod tablicą pamiątkową Kostrowickich, nie bardzo wiemy którzy to, ale rozmowa od razu schodzi na Apollinaire’a. Przystajemy pod kościołem przy Uniwersytecie, odczytujemy tablicę poświęconą pierwszym rektorom — ksiądz Piotr Skarżga, ksiądz Jakub Wujek, kilkadziesiąt kroków przez dziedziniec uniwersytecki i już nowe wzruszenie — Początek Sarbiewski, Ale kiedy wyjść

## WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

na ulicę i spojrzeć ponad katedrą — widać jak na dłoni zamek stawiany przez Gedymina. W stronę Ostrej Bramy piękne i stare cerkwie, budowane przez Rosjan, obok piękny, klasycystyczny pałac, obecnie Muzeum Sztuki, doprowadzony do stanu obecnego przez Litwina Stukę-Guceviciusa i tak jest w całym mieście, budowanym rzeczywiście przez wiele narodów,

Pamiętałismy wszakże, że w atlasie Brauna i Hohenberga z roku 1576 Wilno wymieniane jest jako jedno z największych miast Europy, większe było w każdym razie od Warszawy, a może i Krakowa, posiadało już własny wodociąg, drewniany bo drewniany, ale czynny do połowy XIX wieku. Chyba o tym myślał wodociąg Mickiewicza, kiedy pisał o wodzie, która płynie w miejskich rurach.

Na reprezentacyjnym placu stary kamień przypomina powstania z roku 1863 — Zygmunta Sierakowskiego, z kolei tablica ku chwale Ludasa Giry, wybitnego poety litewskiego, który wzbogacił poezję swojego kraju ludowymi wątkami i współdziałał z wybitnymi pisarzami białoruskimi, przede wszystkim z Janką Kupałą.

Jesteśmy więc przy Białorusinach. To także niebagatelny rozdział w burzliwych dziejach miasta. Język ruski miał w dawnym Wielkim Księstwie Litewskim moc prawną. Pisano w tym wła-

nie przystanąc na dłużej przed obrazem Śledzińskiego, wisi w galerii najbardziej okazałej w Republice, która się mieści w dawnej katedrze. Na wielkim płótnie — król Stefan Batory, Skarga na tle tumanu szlachty i uczonych, ogłasza się powstanie Uniwersytetu Wileńskiego.

Mieliśmy czyste, błękitne niebo nad głowami i trochę czasu, aby poznać Wilno, jako centrum kulturalne. Mnie interesowała biblioteka uniwersytecka, jedna z pierwszych w Europie. Co z księgozbiorem, jak przetrwały wojnę? Nie zdolali jej zniszczyć okupanci, choć zdolali nadweryć. Biblioteka liczy ponad 2 miliony tomów, rękopisów i dokumentów, są archiwa filomatów i filaretów, wiele bezcennych druków, wśród nich najstarsza na Litwie książka — „Katechizm” z roku 1547. Ocalały zbiory Joachima Lelewela, głównie z zakresu historii i geografii. Wspaniały warsztat pracy dla naukowców, naszych również. Zająłem także do Centralnej Biblioteki Akademii Nauk Litewskiej Republiki Radzieckiej, Jej załączek to dawna biblioteka postępowego adwokata i przyjaciela nauki Tadeusza Wróblewskiego. Samych druków z XV i XVI wieku — polskich, litewskich, ruskich będzie przeszło 100 tysięcy. Prawdziwe skarby! Biblioteka liczy ponad 2 miliony tomów, rocznie przybywa 50 tysięcy tytułów.

Zajrzeliśmy do Galerii Obrazów. Dawna bazylika, oszczędzona — na mój gust — rzezbami, przypominająca grecką świątynię, momentalnie przyswoiła na pamięć tamten wielki i smutny romans Zygmunta i Barbary. Malarstwo rzeczywiście ciekawe. Można długo stać przy obrazach Smuglewicza, jego „Pani Granowska” — przyciąga gromadki zwiedzających. Stoją przy pięknych pejzażach, wileńskich Rustema, przy Mickiewiczu, Śledzińskim, Pronasce i Andriolliem, przy Duerrercie, ofortach Rembrandta i pracach uczniów Rubensa — Jordaensie, Boekhorcie i Snyderście.

Dwa lata temu jechalem przez Litwę, aż do Kowna i Poniewieża. Moi litewscy przyjaciele zasypywali mnie wtedy szczegółami z życia kulturalnego tej Republiki Radzieckiej. Liczy ona około 3 milionów ludzi, ale nakłady współczesnych poetów sięgają 10 tysięcy egzemplarzy. W Dolinie Kowieńskiej, o której pisał Stępkowski, w Wilnem Mickiewicz, poeci litewscy deklamują wiersze, słuchają ich tysiące. Wydawnictwo „Vaga” rzuca na rynek każdego roku ponad 300 tytułów o łącznym nakładzie sięgającym 5 milionów egzemplarzy. A za szybą samochodu kręcił się barwny film litewski — lasy w nieskończoność, senne i czyste jeziora i rzeki czyste, wsie schudne, zamożne, pola starannie zagospodarowane i dużo sztuki ludowej, widocznej na domach, w rzeźbach przydrożnych, na niezapomnianych cmentarzach Litwy. Ta właśnie sztuka stanowi drożdże współczesnej grafiki litewskiej, związanej z tradycją i bardzo równocześnie nowoczesnej. Zajrzeliśmy do Muzeum Sztuki, które specjalizuje się w konserwowaniu i eksponowaniu narodowej sztuki radzieckiej Litwy. Obok prac bezimiennych twórców — rzeźby, malarstwa, grafiki, sięgających dawnych wieków, pokazana jest współczesna plastyka, a wszystko to razem stanowi harmonijną całość, jedno z drugiego wynikiem.

Przystaliśmy na dawnej górze trzykrzyżkiej. Pod nami miasto smutkich wież, jasnych pałaców, białych, nowoczesnych dzielnic. Gwar, jakby odległy, głosy miasta przyciszone, ale nam się zdawało, że słyszymy wyraźnie jakiegoś słowa w różnych językach, słowa z głębi historii, słowa ludzi, którzy w zrodzie gród Gedymina zbudowali.



### PORTRET POKOLENIA

Kolejna powieść Jerzego Wawrzaka jest jak gdyby jeszcze jednym elementem rysowanego przez tego autora portretu tzw. pokolenia trzydziestolatków. Pokolenia wchodzącego w społeczność wprost z uczelni, konfrontującego teorię z twardą rzeczywistością życia...

...powszedniego dnia, w który wchodzi bohater książki. Grzegorz Górny. Treścią tej książki jest właśnie owe wchodzenie w życie, w kolektyw, w skomplikowane i trudne problemy, jakie niesie każde zorganizowane zbiorowisko ludzkie. Ta książka jest akurą o hucie — jej akcja rozgrywa się w realiach martenów — ale przecież w gruncie rzeczy chodzi tu o odnajdywanie swego miejsca w ludzkiej zbiorowości. A każda zbiorowość opornie przyjmuje nowego. Bohater „Na spotkanie dnia” ma początkowo przeciwko sobie i zwierzczyków i podwładnych. Ale jest uparty i konsekwentny, choć może zbyt niecierpliwy? Przeciwiwaga dla tej młodzieńczej niecierpliwości jest doświadczony wytopiacz Janie, który głosi dewizę: „Ktoś musi być pierwszy, ktoś ostatni, normalna rzecz. Najważniejsze jest, żeby dobrze wykonać robotę”. I on właśnie, ten jak gdyby drugi bohater książki, kończy ją jak kłama słowami toastu, będącymi uwierzytelnieniem sukcesu inżyniera Górnego.

Jerzy Wawrzak „Na spotkanie dnia”, Wyd. „Śląsk”, 1973.

### LIRNIK MAZOWIECKI

Dlaczego „lirnik mazowiecki”, skoro Teofil Lenartowicz opuszczał rodzinne strony mając lat zaledwie trzydzieści? Ponad czterdzieści lat następnie spędził z dala od owych piaszków, sosen, od kraju... A jednak „lirnik mazowiecki”, choć najdłużej w swym życiu mieszkał we Florencji. Może to właśnie ta tęsknota za krajem kazała mu przy ulicy Montebello tworzyć obrazy mazowieckich pól? Teofil Lenartowicz poeta zapomniany, choć on właśnie „los narodu oddawał w ręce ludu”. A kiedy już nastąpiło to spełnienie jego marzeń — paradoksalnym grymasem historii pamięć o tym poecie została zdmuchnięta. Poeta zapomniany, gdzie na marginesie literatury — a przecież częściowa tylko bibliografia sięga pół setki książek i publikacji o nim. „A ślad po mnie — pieśń złota” Jana Nowakowskiego w pięknej serii „Ludzie żywi” — to może najpełniejsza książka o „lirniku mazowieckim”. Kogo pasjonują takie portrety ludzi minionych epok, weźmie tę książkę do ręki. A Lenartowicz wśród naszych przodków nie jest postacią ostatnią, choć tak dawno zniknęły jego wieści z polskich rodzin, podreżników, tradycji... Po prostu czas jest inny i tamte „pieśni złote” nie wytrzymały próby czasu. Ale warto wrócić do tego poety — do jego, jakże polskich, losów, warto przypomnieć smutną i trochę tajemniczą postać „lirnika mazowieckiego”, który umarł pod włoskim niebem.

Jan Nowakowski „A ślad po mnie — pieśń złota”, Wyd. PIW, 1973.

### STARSI PANOWIE DWAJ...

Czyż trzeba komukolwiek przypominać, czym był „Kabaret Starszych Panów”? Powiedzieć więc tylko, że ten, bodaj najlepszy cykl telewizyjny, żył na szklanym ekranie od 1955 do 1966 roku. Ośmiem lat to sporo, okazało się, że z tych ośmiu lat dało się ocalić kilkanaście programów i utwalić w dwu sympatycznych książkach. Utwalić, ale czy ocalić? Niestety. Atmosfery tamtych programów nie da się ocalić na kartkach książki. Zabrakło bowiem urokliwej muzyki Jerzego Wasowskiego, zabrakło aktorów — Ireny Kwiatkowskiej, Wiesława Gołasa, Wiesława Michnikowskiego, Edwarda Dziewięckiego, Mieczysława Czechowicza... Dwie książki Jeremiego Przybory są zaledwie dokumentem tamtych wzmruszeń i tamtej zabawy. Może to nawet nie ma, ale to nie to samo.

A jednak uważam, że warto wydawać takie książki — scenariusze. Oczywiście czytelnik, któremu nie dane było oglądać „Kabaretu Starszych Panów” w telewizji niewielki z lektury będzie mieć pożytek, ale widzowie! Jest to bowiem książka wspomnień. Jeśli przeczytamy na przykład: „Bez ciebie jestem tak smutny jak kondukt w deszczu pod wiatrem...”, od razu przywołamy w pamięci Wiesława Michnikowskiego, który zrywał z tego tekstu już nawet nie perelkę, a perłę estradową. I tak przez prawie 200 stron tej książki wspomnień. Urokliwej i nieco starszowieckiej jak Starsi Panowie dwaj.

Jeremi Przybora „Kabaret Starszych Panów”, Wyd. Czytelnik 1973.

### POECI TRZECH POKOLEŃ

Niech nikogo nie zmienił napis przy metryczce — książki — „wydanie czwarte”. Artur Sandauer jest krytykiem nieustającym w drażnieniu problemów literatury, nie ma dla niego spraw na zawsze zamkniętych, zakończonych. Właściwie każda książka Sandauera jest nową książką, nawet jeśli nosi tytuł już znany. Podobnie i z „czwartym wydaniem” „Poetów trzech pokoleń”. Obok esejsów znanych z poprzednich wydań mamy tu całkowicie nowe szkice, na przykład o Lesmianie, o Czechowiczu; mamy wnikliwe rozprawki o poezji Jasnorzewskiej-Pawlikowskiej, Przybory, Tuwima... O Galczyńskim są dwa szkice, jeden oddaje sprawiedliwość „świętej powszedności” jego poezji, drugi ocenia bez taryfy ulgowej polityczne „kiksy” tego poety. Na skrzydełku obwołany napisano, że obecne wydanie jest w zamierzeniu autora obrazem najważniejszych dokonań poetyckich w Polsce międzywojennej. To oczywiście — prawda. Jest to książka summa wiedzy i problemów poetyckiego dwudziestolecia. Ale niejmy nadzieję, że kiedy ukaze się znów za lat parę wydanie piąte, będzie to znów jeszcze pełniejsza, jeszcze bardziej szeroka panorama problemów poezji trzech polskich pokoleń. Bowiem, jak się rzekło, dla Sandauera literatura jest zawsze żywa i nie ma w niej spraw zamkniętych i raz na zawsze zdefiniowanych. Może właśnie dlatego Artur Sandauer jest bodaj jedynym z y w m krytykiem?

J. WIL.

Artur Sandauer „Poeci trzech pokoleń”, Wyd. LSW, 1973.

Koronki katedry pokazali nam mediolańscy komuniści już pierwszego dnia z okien samochodu. Jadąc wczesnym rankiem z ówcora do lokalu Włoskiej Partii Komunistycznej na Via Volturmo przesuwałam o godzinę naprzód wskazówki zegarka.

Już jutro będziemy na Piazza Duomo łowić w obiektyw katedralne gołębie i restaurowaną właśnie, imponującą fasadę, ozdobioną trzema tysiącami marmurowych statuet. Na schodach świątyni zniecierpliwiony handlarz pamiątek obniży o połowę cenę kolorowych przeźroczy i nie będzie ukrywał swojego gniewu, widząc nas, uciekających z okrzykiem „Domani! domani!” w stronę ciemnych drzwi katedry.

### MEDIOLAN

W mediolańskim hotelu „Astoria”, gdzie mieszkam przez dziesięć dni, holduje się zasadom włoskiego demokracji; właściciel i kucharka pochyleni nad obiadem przy wspólnym stole — to scena, która jednak zaskakuje; kilkadziesiąt metrów za Parco Sempione, gdy cichnie już gwar festiwalu, świeżo przyklepione do kłap marynarek kolorowe znaczki „Unita” wędrują na inne, mniej widoczne miejsca. Mówiono nam tu o skrajnie prawicowych, neofaszystowskich bojówkach Włoskiego Ruchu Socjalnego; nasze obawy potwierdzają się, kiedy natrafiamy na hasła, czarne swastyki na murach i uważne, a może i nieco sploszone spojrzenia w metro.

Mediolan — stolica wielkiego przemysłu i ojczyzna banków, zapisało bodaj najwięcej chlubnych kart w dziejach włoskiego ruchu robotniczego. Tutaj też ma swą siedzibę jedna z dwóch redakcji komunistycznego dziennika „Unita”, założo-

się złotych goła trawa. Zaimprovizowana przez nas „estrada” z dykty wygina się pod ciężarem głośniekich kolumn i perkusji. Grając, co pewien czas przysuwam do siebie instrumenty. Odgrodziwszy się kartonowymi pudełkami po piwie od zdyscyplinowanej, na szczęście, publiczności, gramy rękoma szarymi od pyłu. Z umywalnią krucho... Butelki „acqua minerale”, której wypija się tu hektolitry, otrzymujemy cichcem i tylko dzięki uprzejmości polskich kucharzy.

Przez noc, w nieszczelnym, blaszanym magazynie zbiera się na instrumentach spora warstwa kurzu. Codziennie przenosimy instrumenty jakieś pięćdziesiąt metrów, pod ściany polskich pawilonów. Zeby zdążyć na kolację do odległego hotelu. Pakowanie sprzętu po koncercie odbywa się w zbyt szybkim, jak dla nas, tempie. Nie bez trudności znosimy zaduch i stężony zapach spalin na bezwietrznych ulicach.

Cena szklanki chłodnej wody w popularnych we-

polsku. Nawet okładkę kombatanckiej legitymacji, której właściciel, Włoch, eks-partyzant stawia nam wszystkim piwo, znaczyć będą nazwiska łódzkiej muzyków. Kto zaprasza do wspólnej fotografii, ktoś inny dopytuje się o płyty i nagrania, zjawia się reporter z zachodniemieckiej gazety. I... jak wszędzie dzieci; ale nie wydają się nam bardziej niesforne niż jakiegokolwiek inne.

Piosenki włoskie cieszą się naturalnie największym uznaniem, publiczność reaguje spontanicznie i muzykalnie wypełnia oklaskami ostatnie takt.

Festiwal, to święto prawie dwumilionowej rzeszy włoskich komunistów, jak co roku, staje się już narodowym festynem. „Un successo gastronomico” — donosi któregoś dnia „Unita”, pisząc o gromadnie odwiedzanych przez festiwalową publiczność, zatłoczonych „ristoranti” na świeżym powietrzu, w których osmoleń i spoceni kuchmistrze do późnych godzin wieczornych pieką, smażą, gotują przeróżne przysmaki — specjalności wielu narodów i wielu kuchni — weneckiej i polskiej, węgierskiej i rzymskiej, bolońskiej i chińskiej, bułgarskiej...

### SPOTKANIE ZE SZTUKĄ

Galeria Wiktora Emanuela II to ulubione miejsce towarzyskich spotkań mediolańczyków, gielda zamoznych handlowców. W ogródkach ekskluzywnych kawiarni przyciszona rozmowa, dużo tu sklepów z oryginalnymi dziełami i re-



### Festival nazionale de l'Unita

Milano 1/9 settembre 1973

na flagą — „Jazz Polacco” — galowy koncert polskiej muzyki rozrywkowej, z udziałem zespołów: Novi Singers, Hagaw, Maryli Rodowicz i łódzkiej grupy Bene Nati, a w reżyserii Wowo Bielickiego. Inaugurujemy modnymi tu włoskimi przebojami, a w dwie godziny później, przy akompaniamentcie Maryli Rodowicz „infine con molta bravura”, wszystkich wykonawców ogarnia taneczny rytm kubańskiej piosenki.

### DO DOMU

Doba hotelowa kończy się o godzinie piętnastej. Chcąc nie chcąc, z walizkami opuszczam pokój. Resztę

### TOMASZ SOLDENHOFF - ZDROJEWSKI

# W MEDIOLANIE NA ŚWIĘCIE „UNITY”

nego przed blisko pięćdziesięcioma laty, z inicjatywy Antonio Gramsciego. Jako jedna z niewielu włoskich, codziennych gazet osiąga nakład czterystu tysięcy egzemplarzy, dociera do niemal wszystkich regionów i prowincji kraju, umiejętną działalnością polityczno-redakcyjną zapewnia sobie największe wpływy spośród organów prasowych obozu lewicowego.

### QUI LA POLONIA

W świątecznym numerze, zapowiadającym czerwonymi nagłówkami otwarcie festiwalu, na pierwszej stronie zamieściła „Unita” list Edwarda Gierka do włoskich komunistów, wewnątrz zaś cykl artykułów o Polsce i Polakach pod wspólnym tytułem „Qui la Polonia” („Tutaj Polska”).

Niedaleko Castello lustrują nas wzrokiem karabinierzy, oparci o maski czarnych „Fiatów”, przysłuchują się odgłosem bliskiej już manifestacji. Podnieceni, mijamy kordon.

Ciepłe, wrześnieje popołudnie. W manifestującym tłumie jest gorąco od muzykalnie i z przejęciem skandowanych hasel. Dużo zaangażowanej młodzieży. Na trybunie przywódcy partii. Przez olbrzymie głośnieki płyną uroczyste słowa; to początek dziesięciodniowych, polityczno-kulturalnych igrzysk.

Paręset metrów dalej ośrodek polski. Stylizowana restauracja z żywieckim piwem i narodową kuchnią. W pawilonach tradycyjnie polski towar; wyroby „Cepeli”, szynka, spirytualia. Obok maszyn cyfrowych „Odra”, zadrukowanych kłapy papieru portretami Kopernika, lepi garnki góral z Bukowiny.

Przez siedem dni pod naszą aparaturą muzyczną, wartości kilkudziesięciu ty-

Włoszech trattoriach, które obok misji gastronomicznej pełnią również funkcje ośrodków życia towarzyskiego, wydaje się nam zbyt wygórowana. Korzystamy więc z dobrodziejstw ulicznych hydrantów, puszczając mimo uszu ostrzeżenie gospodarzy. Pragnienie jest niezmiernie wielkie, a woda zdatna do picia i nawet smaczna. Wolna od przykrego zapachu chloru.

Jedyną kolejką, w której stałem w Mediolanie i naprawdę obowiązującą wszystkich cudzoziemców była ta, bardzo długa, na lotnisku przed punktem sześciopięt. Podczas epidemii cholery, w tym prawie dwumilionowym mieście, gdzie ponoć zdarzył się wypadek zachorowania, otwarto tylko dwa ambulatoria ze szczyptką. Mimo zagrożenia, którego sygnaly dochodziły tu z południowych prowincji kraju, Neapolu i Bari, i nie opuszczały pierwszych stron włoskich dzienników, mieszkańcy Północy niełatwo poddają się nastrojom strachu i paniki.

### FESTIWAL „UNITY”

Dwa, trzy rzędy słuchających. Krzesel nie ma. Pracuje stuwatowy Marshall. Jest dźwięk głośno. Polacy, ci, którzy potem podejda, ciekawi szczegółów i serdeczni. Samotny Włoch na trawie w tanecznych wygibasach. Tam dalej, na skraju parku, dwie, nie zwracające uwagi na otoczenie panien... i jaskrawy przykład obyczajowej swobody.

W różnorodnym rozgardiaszu udane próby porozumienia się zawdzięczamy jedynie cudotwórczej zdolności odgadnięcia i językowej intuicji Włochów. Każdy znaleziony w kieszeni skrawek papieru zapisujemy, niestworzonymi rzeczami, ale na szczęście... po-

produkcjami malarstwa, antykami. Niezwykła, pełną niespodzianek atmosferę ma ten, przykryty szklaną kopułą pasaż z epoki Cavoura i Verdigo.

Wokół amfiteatru, wzniesionego na dziedzińcu XV-wiecznego Castello Sforzesco, do którego architektonicznej świetności i bogactwa wnetrz przyczynili się między innymi — Leonardo, Bramante i Beltrami, ekspozycja sztuki etruskiej. Stykam się z tym, co pozostało po tej niezbadanej jeszcze do końca kulturze, z której tak wiele przecięt elementów i motywów przejęła sztuka Rzymu. Brunatnoczerwone freski, rzeźby z terakoty i brązu, grobowcowe malowidła ścienne, w salach pałacu — ceramika, wyroby z metali szlachetnych i brązu.

W wieczornej scenarii Castello, na tle rozświetlonej reflektorami jednej z zamkowych wież i murów, ozdobionych biało-czerwo-



FELIKS TOPOLSKI: Dywizja gen. Maczka



(Dalszy ciąg ze str. 4)

— Poślijcie mnie na front jako szeregowca — zażądał Berling, gdy zgłosił się do radzieckich władz wojskowych.

— Proszę o jak najszybsze skierowanie na front.

— Pojedziecie na front, pułkowniku — zapewniono go.

— Będziecie jeszcze dowodzić polskimi jednostkami. Możecie być tego pewni. Polskę wyzwalać będą również polskie wojska walczące u boku Armii Czerwonej.

Bowiem ta armia, która dziś obchodzi swoje 30-lecie, musiała powstać — i to na innych zasadach, w innej sytuacji. Czekano tylko na decyzję. Wspomina Jerzy Putrament w swoich pamiętnikach:

„Osiemnastego kwietnia byliśmy wieczorem u Wandy. Miałam w tym samym „Domu Rządowym” na Sierafimowicza, co i Usiewiczowa, tylko w innym bloku. Siedzieliśmy, gadali o głupstwach. Było nudno.

Wtem telefon. Wanda wychodzi do sąsiedniego pokoju. Słyszymy jej odpowiedź po rosyjsku: „tak, tak... tak...”. Jutro o pierwszej. Tak. Rozumiem. No, tak, oczywiście. Rozumiecie, co to dla mnie znaczy...”

Wraci. Jest zmieniona. Ma twarz zmieszanego dziecka.

— Jest decyzja.

Milczeliśmy z pół minuty. Wstaje, zataczając się, pochodząc do niej, całując w policzek. Zaczyna nas ogarniać przejmująca radość. Wychodzimy z zawrotną głową jak po przepięciu (...)

Już od paru tygodni kursowały wśród nas wieści o jakimś wysokim oficerze od armii Andersa, który odmówił wyjazdu na Błiski Wschód. Wanda wrzeszczy robi niewielkie przyjęcie. Przyszło „leń” troje. Wysoki, lisy, nieco podobny do Ryżan-Smielego pułkownik Berling. Niski, dobroduszny porucznik Juszkiewicz. Wreszcie pani Maria Mika.

Taki był początek. Nic w nim nie ma z patosu — „roz-mawialiśmy o głupstwach. Było nudno...” I naraz po 30 latach z tej rozmowy, z tego oczekiwania w wielkim bloku przy ul. Sierafimowicza — rodzi się Historia.

Połem — nad Oką — było już ich coraz więcej. W ciągu miesiąca dywizja osiągnęła liczbę 8000, a do 8 sierpnia ponad 16000 ludzi, co zresztą znacznie przekraczało jej stan etatowy. Ściągali tu z całego Kraju Rząd, na wieść...

Wspomina płk Józef Guterman:

„— Chłopcy! Nowina! — wykrzyknął zdyszany. — Dajcie skrócić papierosa i uciszcie się do licha ciężkiego, to wam powiem coś takiego, że spadniecie z krzesel!...”

Trudno było spać z krzesel, których nie było, a jeszcze trudniej było uciszyć się, lecz po chwili, gdy wyjął z kieszeni pamiętą gazetę Związku Patriotów Polskich „Wolna Polska”, w baraku zrobiło się cicho, jakby kto makiem zasiał.

Jeszcze dziś pamiętam datę i numer gazety — 8 maja 1943 r. nr 10, i komunikat, który prawie chórem odczytaliśmy: „Rząd Radziecki postanowił zadośćuczynić prośbie Związku Patriotów Polskich w ZSRR w sprawie utworzenia na terytorium ZSRR polskiej dywizji im. Tadeusza Kościuszki w celu wspólnej walki z Armią Czerwoną przeciwko najeźdźcom niemieckim. Formowanie polskiej dywizji już się rozpoczęło”.

Tej nocy nikt nie spał spokojnie.”

Zdążali wszyscy do swoich Wojenkomatów, a potem:

„Wiesz Sienie leżała nad Oką, u zachodniego krańca wielkiego leśno-bagnistego obszaru, zwanego „Mieszczera”. Od lat miesiły się tu letnie obozy różnych jednostek wojskowych. Jeden z nich był przeznaczony dla nas.

Ulokowaliśmy się w niewielkim, piętrowym drewnianym. Pierwszy wieczór zatruty nam życie komary, których okazało się przerażająco dużo, tyle co na Polesiu. Późnym wieczorem przyjechał dowódca dywizji. Następnego dnia zaczęły się pierwsze kroki organizacyjne.”

I znów wspomnienie żołnierza:

„Gdy wspom zatrzymał się i wyszliśmy na brzeg, oczom naszym ukazał się ogromny obóz wojskowy. Na jednym z drewnianych budynków sztabowym powiewała biało-czerwona chorągiew, a nad bramą wejściową do obozu, skleconą z desek, widniał ogromny transparent z polskim napisem: „Witaj żołnierzu — wczorajszy tułacz”.

Jeszcze tylko popatrzyła na nas komisja lekarska, tym razem raczej już dla formalności, i z małą karteczką w ręku, na której poślinionym koplowym ołówkiem napisane było „2 pp” oraz z workiem cywilnych łachów, zabranych nie wiadomo po co z Akmollińska, maszerowałem z polany przed budynkiem sztabowym w kierunku lasu, gdzie miał się mieścić — od tej chwili mój macierzysty — drugi pułk piechoty.

Prowadził nas najprawdziwszy bapral, wydelegowany z tegoż pułku po nowych żołnierzy. Do oddziału przyszliśmy jako jedni z pierwszych.”

Za trzy miesiące było już ich 16 tysięcy. Za dwa miesiące poszli w pierwszy bój. Wspomina Włodzimierz Sokorski:

„16 października o 9 rano odbyła się odprawa, na której gen. Berling dokonał oceny bitwy pod Lenino. Zadanie zostało wykonane. Front przetrwał i utworzono przyczółek do szturmu na linię Dniepru. Dywizja poniosła jednak duże straty. Pierwszy pułk piechoty nie może doliczyć się 1300 ludzi w zabitych, ran-

(Dalszy ciąg na str. 7)

(Dalszy ciąg ze str. 1)

### DECYZJA

W tym czasie komuniści polscy zgrupowani w Związku Patriotów Polskich w ZSRR podjęli starania o zorganizowanie na ziemi radzieckiej regularnych oddziałów ludowego Wojska Polskiego. Była to bardzo ważna i śmiała inicjatywa podjęta po ewakuacji armii gen. Władysława Andersa z terytorium Związku Radzieckiego, na skutek niedotrzymania zobowiązań ze strony rządu polskiego na emigracji w sprawie wspólnej walki z Armią Radziecką przeciwko wojskom niemieckim na froncie wschodnim.

Wysiłki ZPP w sprawie utworzenia na terytorium ZSRR oddziałów ludowego Wojska Polskiego spotkały się z przychylnym stanowiskiem rządu radzieckiego i Józefa Stalina. Już 8 maja 1943 r. w prasie ukazał się komunikat następującej treści:

„Rząd radziecki postanowił zadośćuczynić prośbie Związku Patriotów Polskich w ZSRR w sprawie utworzenia na terytorium ZSRR polskiej dywizji im. T. Kościuszki w celu wspólnej walki z Armią Czerwoną przeciwko najeźdźcom niemieckim. Formowanie polskiej dywizji już się rozpoczęło.”

1 dywizja im. T. Kościuszki formowała się w Sielcach nad Oką w pobliżu Riazania. Dowódcą dywizji został płk Zygmunt Berling, zastępcą d/s liniowych płk Bolesław Kieniewicz, zastępcą d/s oświatowych mjr Włodzimierz Sokorski.

W skład dywizji wchodziły trzy pułki piechoty, pułk artylerii lekkiej, pułk czołgów oraz samodzielne dywizyjny: artylerii przeciwlotniczej, artylerii przeciwpancernej, moździerzy i inne samodzielne pododdziały. Prace organizacyjne postępowały bardzo szybko. Dywizja osiągnęła pełny stan etatowy wynoszący 12177 ludzi. Przygotowując się do walki dywizja posiadała 452 działo czołgów, 1 moździerz oraz 40 czołgów. Proces formowania dywizji został zakończony złożeniem przysięgi 15 lipca — w 533 rocznicę bitwy pod Grunwaldem. Tekst tej przysięgi brzmiał:

„Składam uroczystą przysięgę ziemi polskiej, brojącej we krwi, narodowi polskiemu u-mieczonemu w niemieckim jarz-mie, że nie skalam imienia Po-laka, że wiernie służyć będę Ojczyźnie... Przynajmniej... że do ostatniej

kropki krwi, do ostatniego tchu walczyć będę o wyzwolenie Ojczyzny, abym mógł żyć i umierać jako polski i uczciwy żoł-nierz polski...”

10 sierpnia 1943 r. oficjalnie ogłoszono zezwolenie władz radzieckich na sformowanie w ZSRR 1 Korpusu Polskich Sił Zbrojnych. Dowódcą Korpusu został gen. Z. Berling, zastępcą d/s liniowych gen. Karol Świerczewski, zastępcą d/s oświatowych ppłk W. Sokorski.

### BITWA POD LENINO

Formowaniem nowych jednostek polskich w obozie sieleckim po wyjeździe 1 dywizji na front zajmował się gen. K. Świerczewski. Pod jego kierownictwem formowały się: 2 dywizja piechoty im. Henryka Dąbrowskiego, brygada artylerii im. Józefa Bema, brygada pancerna im. Bohatera Westerplatte, pułk lotnictwa myśliwskiego „Warszawa” oraz inne jednostki. Do końca września 1943 r. nowe jednostki

zostały sformowane i przystąpiono do ich trzymiesięcznego szkolenia.

1 września 1943 r. w czwartą rocznicę napaści Niemiec hitlerowskich na Polskę, 1 dywizja piechoty im. T. Kościuszki wyruszyła w długą, trwającą ponad miesiąc drogę na front, gdzie Armia Radziecka po rozbiću wojsk niemieckich pod Kurskiem prowadziła wielką ofensywę w kierunku rzeki Dniepr. Włączona w skład 33 armii Frontu Zachodniego — 1 dywizja piechoty stoczyła pod Lenino 12 i 13 października krwawą bitwę z wojskami hitlerowskimi.

Historyczne znaczenie bitwy pod Lenino oceniać należy nie tylko stratami, jakie poniósł nieprzyjaciel. Nie chodziło w tej bitwie o sukces taktyczny. Ze względu na ograniczoną skalę nie mogła ona mieć decydującego znaczenia w wydarzeniach na froncie wschodnim.

Udział 1 dywizji im. T. Kościuszki w bitwie pod Lenino należy głównie rozpatrywać w

szerszym rozumianej płaszczyźnie politycznej. Oznaczała ona zwycięstwo koncepcji politycznej polskiej lewicy, komunistów, którzy widzieli drogę do wyzwolenia Ojczyzny w walce przeciwko faszystowskiemu hitlerowskiemu u boku Bohaterów Armii Radzieckiej. Była to najkrótsza i najbardziej realna droga. Ona doprowadziła nas do zwycięstwa. Po raz pierwszy w II wojnie światowej na froncie wschodnim, tam, gdzie decydowały się losy tej wojny, a więc i Polski, żołnierze 1 dywizji swą własną krwią cementowali braterstwo broni z Armią Radziecką. Bitwa pod Lenino wywarła bezpośredni wpływ na walkę wyzwolenca w kraju. Pomysłny egzamin Kościuszków pod Lenino przyspieszył powstawanie dalszych jednostek polskich w ZSRR. W obozie sieleckim rozpoczęto formowanie 3 dywizji piechoty im. Romualda Traugutta.

Po podjęciu przez rząd radziecki 16.3.1944 decyzji o przekształceniu 1 korpusu Polskich Sił Zbrojnych w armię, na wyzwolonych terenach Ukrainy zaczęły powstawać nowe polskie jednostki, a wśród nich 4 dywizje piechoty im. Jana Kilińskiego. Podobnie jak w obozie sieleckim, również na Ukrainie jednostki polskie rozra-

o scaleniu Armii Ludowej i Armii Polskiej w ZSRR w „jedynolite Wojsko Polskie”. Utworzony w tym samym dniu Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego, główny swój wysiłek skoncentrował na zmobilizowaniu możliwie jak największej liczby obywateli polskich do szeregów Wojska Polskiego. Ogromną rolę w rozbudowie jednostek polskich spełniło Naczelne Dowództwo WP z gen. Michałem Rola-Zymierskim.

Po dojeździe wojsk radzieckich do Wisły w lecie 1944 r. 1 Armia WP została wprowadzona do pierwszego rzutu operacyjnego 1 Frontu Białoruskiego i wzięła udział w walkach pod Dęblinem i Puławami, a następnie na przyczółku pod Magnuszewem. Walki jednostek polskich w tych rejonach miały istotne znaczenie z punktu widzenia wojskowego i politycznego. Jesienią 1944 r. 1 dywizja im. T. Kościuszki

# WYRUSZYLI

stały się bardzo szybko. W lipcu 1944 roku ogólny stan 1 Armii Polskiej w ZSRR wynosił 107.000 żołnierzy, z tego 65.000 było przygotowanych do walki.

W tym czasie, gdy 1 Armia Polska w ZSRR w składzie 1 Frontu Białoruskiego dowodzonego przez marsz. Konstantego Rokossowskiego zbliżała się do granic Polski, rosły siły i wzmagala się walka ruchu oporu w kraju. Działająca od stycznia 1944 r. Krajowa Rada Narodowa zorganizowała Armię Ludową pod dowództwem gen. Michała Rola-Zymierskiego. W 1944 r. AL wystawiła 16 dużych związków partyzanckich oraz kilkadziesiąt mniejszych oddziałów. W pierwszej połowie tegoż roku AL przeprowadziła 904 operacje bojowe, w wyniku których zginęło 20000 żołnierzy i oficerów niemieckich. Walkę z okupantem prowadzili również Bataliony Chłopskie oraz — niezależnie od koncepcji Dowództwa Głównego — Oddziały Armii Krajowej.

### I ARMIA WOJSKA POLSKIEGO

Po wyzwoleniu wschodnich obszarów Polski przez Armię Radziecką, Krajowa Rada Narodowa uchwaliła 21 lipca 1944 r. ustawę „O przejęciu zwierzchnictwa nad Armią Polską w ZSRR

brała udział w walkach o wyzwolenie prawobrzeżnej Warszawy — Pragi, natomiast 2 i 3 dywizja piechoty toczyły krwawe walki o sforsowanie Wisły na kierunku Czerniakowa i Żoliborza w celu udzielenia pomocy powstańcom.

W ramach operacji wiślańsko-odrzańskiej 1 Frontu Białoruskiego, jednostki 1 Armii wywoływały Warszawę, a następnie wykonały marsz — manewr w kierunku Bydgoszczy. Stąd 1 Armia rozpoczęła najcięższe walki od chwili swego powstania — przełamywanie Wału Pomorskiego. Po krwawych walkach na Wale Pomorskim 1 Armia wzięła udział w operacji pomorskiej, zdobyła Kołobrzeg, a następnie zajęła obronę wybrzeża w pasie od Kołobrzegu do Stepnicy.

### NAPRZÓD! NA BERLIN!

16 kwietnia 1945 r. 1 Armia pod dowództwem gen. Stanisława Popławskiego, a 2 Armia dowodzona przez



„Lepiej jest zginąć niż nienawidzić i bać się: lepiej zginąć po dwakroć niż być nienawidzonym i budzić lęk; taka winna być kiedyś wyniosła dewiza każdego zorganizowanego społeczeństwa”.

Te słowa napisał nie kto inny tylko Nietzsche, który nie był przeciwnym „poddobnego narodu”. Przeciwnie, to właśnie jego naród budził przez lata lęk i był nienawidzony tak, jak może być znienawidzony tylko ktoś, komu nie wystarcza samo zwycięstwo miecza; kto pragnie zabić przede wszystkim ducha i do końca upodlić duszę.

Pisał Camus: „Tysiąc wymierzonych karabinów nie pozbawi człowieka wewnętrznej wiary w słuszność jego sprawy. Jeśli umrze, inni sprawiedliwi będą mówić „nie”, a siła się znuży. Nie wystarczy więc zabić sprawiedliwego, trzeba zabić jego ducha, aby przykład sprawiedliwego, który wyrzeka się godności ludzkiej, zniechęcił wszystkich sprawiedliwych razem i samą sprawiedliwość”. Na szczęście godność ludzka i sprawiedliwość są — jak dotąd — niepokonane. Dlatego przed Grobami Nieznanych Żołnierzy znicze płonąć winny po wsze czasy. Dlatego na zagubionych po lasach, żołnierskich bezimiennych mogiłach jakieś nieznanne ręce wciąż jeszcze kładą wiazki polnego kwiecia, albo zapalają lampkę w Dzień Zaduszny. Dlatego...”

★ ★ ★

„We mgle trzaska strzelanina i głos armat dobiega aż do nas. Bizon amerykański nie jest straszliwszy ani piękniejszy Laweta Podobna do labędzka z Kamerunu. Moji ludzie leżą pod akacjami pustoszonymi przez pociski o niebo błękitne nad Marną Kobletu Z uśmiechem aeroplanu Zapominają o nas”

W 1914 roku można było jes-

e przyrównywać lawetę do labędzka z Kamerunu, a nawet wyobrazić sobie kobietę z uśmiechem aeroplanu, zwłaszcza gdy się było poecią, ale słowa „zapominają o nas” nie straciły nic ze swojej aktualności ani w trzydziestym dziewiątym na Westerplatte, ani w czterdziestym czwartym na Starówce. Są to bowiem straszliwe słowa ludzi, którzy zostali sami ze swoim losem.

Pamiętam, jako kilkuletni pętać godzinami mogłem oglądać grubą, oprawną w skórę książkę, w której było wiele bardzo ciekawych i pięknych obrazków. Kiedy tylko udawało mi się, różnymi zresztą sposobami, (dziś mogę się przyznać, że nie zawsze były to sposoby godne mężczyzny), wyprosić lub wymusić ową „książkę do oglądania” — w domu panował idealny spokój i cisza. Szczególnie jeden obrazek budził moje zainteresowanie i niepomierne zdziwienie: śliczny pan z szablą na ślicznym koniu pokazywał coś ręką i skakał do wody. Za nie nie mogłem pojąć, dlaczego mając tak ślicznego konia i szablę koniecznie chce się utopić.

Kiedy pytałem o to ojca, ten ozywał się i opowiadał mi o pięknej barwie mundurów, o szablach wzniesionej niczym błyskawica, o tym, jak malarz pięknie namalował ruch konia, jego łeb ściągający cugłami, rozdeptane chrapy, łuk szyi i gwałtowną

potrzebę skoku, niebo zasnute ciężkimi chmurami, postacie żołnierzy, które przypominały moich cynowych żołnierzyków...”

Kiedy zagadywałem o to matkę, to zawsze długo wpatrywała się w kolorową ilustrację i przenosząc na mnie dziwne zmieniło mi wzrok mówiła innym niż zazwyczaj głosem:

— Czasami tak być musi, synku — po czym zabierała mi książkę i odkładała na półkę do wielkiej szafy, gdzie stało wiele innych książek, do których wtedy nie miałem dostępu, których treści nie udało mi się nigdy poznać, bowiem książki płoną równie szybko, jak szybko topią się cynowi żołnierze...”

Ten wzrok matki, który nie był smutkiem lecz głęboką i odwieczną świadomością tragizmu zrozumiałem potem, gdy zobaczyłem, jak na jej rękach jakiś nieznanymi człowiek umierał tylko dlatego, że miał odwagę, którą po prostu uważał za swój obowiązek, powiedzieć „nie”. Matki wiedzą najlepiej, że martwych nikt nie zastąpi... I rzadko się zdarza, aby synowie konali na rękach matek. Zwłaszcza w czas burzy. A zdawałoby się przecież, że przynajmniej ten przyjęty winien być dany żołnierzom i matkom żołnierzy. Lecz żołnierze zwykle umierają gdzie indziej...

Odległy lej po pocisku, gdzie — jak pisze Henry de Montherlant — odbywa się misterium umierania bez cześci gadaniny i pochlipowań, w świętej samotności; albo w brzoziowym zagajniku — ach! jakże piękne jesienią potrafią być brzozywe, rzadkie zagajniki; albo w polowie

gen. Karola Świerczewskiego rozpoczęły w ramach radzieckich frontów operację berlińską. Dla żołnierzy polskich udział w operacji berlińskiej posiadał nie tylko znaczenie wojskowe, ale również polityczne. Chodziło o to, aby w ostatecznym rozbięciu hitlerowskich Niemiec nie zabrakło również żołnierzy polskich. Siły ludowego Wojska Polskiego, mające walczyć w składzie 1 Frontu Białoruskiego i 1 Frontu Ukraińskiego, stanowiły 13 proc. armii ogólnowojskowych i 25 proc. samodzielnych korpusów pancernych pierwszego rzutu. Pasy natarcia 1 i 2 armii WP obejmowały 17 proc. pasów działania tych Frontów.

Ślak bojowy ludowego Wojska Polskiego zakończył się dla jednostek 1 Armii nad Łabą, a dla 2 Armii w okolicach Pragi czeskiej. W walkach o Berlin wzięły również udział polskie jednostki: 1 dywizja piechoty im. T. Kościuszki, 2 pomorska Brygada Artylerii Haubic i samodzielna Brygada Moździerzy i 6 warszawski samodzielny zmotoryzowany batalion pontonowo-mostowy. Na gruzach hit-

rowskiej stolicy — Berlinie, obok czerwonych sztandarów radzieckich, zatknięto biało-czerwone flagi polskie. Uczylił to ci żołnierze, którzy szli najkrótszą drogą do kraju, którzy działając w imieniu polskiej lewicy społecznej, wbiłi stopy graniczne nad Odrą, Nysą i Bałtykiem.

#### ZAPANOWAŁ 'POKÓJ

Po zakończeniu działań wojennych przed ludowym Wojskiem Polskim stanęły nowe odpowiedzialne zadania. Trzeba było odbudować zniszczony kraj oraz zagospodarować przywrócony Polsce jej stan posiadania nad Odrą, Nysą i Bałtykiem. Żołnierze polscy stanęli w pierwszych szeregach w zasiedlaniu i zagospodarowywaniu odzyskanych ziem. Już w pierwszych miesiącach akcji osiedleńczej, rodziny żołnierzy objęły 56260 gospodarstw, na których osiedliło się 200.400 zdemobilizowanych żołnierzy i członków ich rodzin.

Młoda władza ludowa znajdowała się w trudnej sytuacji, gdyż do ataku przeciwno nie ruszyli wszyscy

ci, którzy nie chcieli się pogodzić z nową sytuacją polityczną, z nowym ustrojem. W jesieni 1945 r. na terenie Polski działało około 240 zbrojnych band o charakterze politycznym bądź rabunkowym, liczących w sumie około 32.000—35.000 ludzi, z czego na nacjonalistyczne bandy UPA przypadało ponad 6.000.

Żołnierze ludowego Wojska Polskiego aktywnie uczestniczyli w wielkich kampaniach politycznych w czasie referendum i w wyborach do Sejmu Ustawodawczego. Utworzono 2614 grup ochronno-propagandowych (GOP), liczących blisko 57.000 żołnierzy. Obok pracy propagandowej jednostki Wojska Polskiego w drugiej połowie 1948 r. dokonały blisko 5.000 akcji, w wyniku których zginęło 1965 członków band, a 3.725 ujęto z bronią w rękę.

W celu ostatecznej likwidacji band UPA skierowano do walki z nimi poważną część jednostek Wojska Polskiego. Akcji tej nadano kryptonim „Wisła”. Główna faza operacji „Wisła” trwała od kwietnia do lipca 1947 r. Ogółem w wyniku akcji „Wisła” w toku której przeprowadzono 337 operacji bojowych w ciągu 102 dni, zginęło 1509 bandytów, zdobyto 2500 sztuk broni, zniszczono 1178 bunkrów

tać i pisać. W następnych latach (1951—1955) nauczaniem podstawowym objętych było 50.572 żołnierzy. Rokrocznie przechodzi w wojsku przeszkolenie zawodowe tysiące żołnierzy. Tylko w roku 1964 gospodarce narodową zasiliło 20.000 wyszkolonych w wojsku kierowników i traktorzystów, 2300 budowlanych i kilkanaście tysięcy łącznościowców. Z roku na rok cyfry te wzrastały. Ludowe Wojsko Polskie bierze aktywny udział w kształtowaniu obywatelskiej i patriotycznej postawy młodego pokolenia budowniczych socjalizmu.

Dobrze zna mundur żołnierski młodzież szkolna, załogi zakładów pracy, mieszkańcy osiedli i wsi. Żołnierz jest u nich stałym gościem.

W okresie 30-lecia siły zbrojne Polski Ludowej przechodziły wiele zmian strukturalnych i organizacyjnych. Nieustannie rosła ich gotowość bojowa. Naród polski wyposażył swą armię w najbardziej nowoczesny sprzęt bojowy, aby można było skutecznie ochraniać granice państwa i bezpieczeństwo kraju. Siłę bojową wojska wzmacnia fakt, że stanowi ono poważną część składową socjalistycznej wspólnoty w ramach Układu Warszawskiego. Właśnie sojusz, przyjaźń i jedność z armiami socjalistycznymi, a szczególnie z Armią Radziecką — stanowi gwarancję naszego bezpieczeństwa.

Partia w okresie 30 lat istnienia polskich ludowych sił zbrojnych wykazywała stałą serdeczną troskę o ich rozwój i gotowość bojową. Umocnił się ludowy, socjalistyczny charakter wojska, jego związek z najszerszymi masami pracującymi. Te istotne cechy wojska nadal rozwija i umacnia. Znajduje to swój wyraz w bliskich i serdecznych więzach, łączących wojsko z narodem, w tradycjach, do których nawiązuje i w oparciu o które wychowuje swoich żołnierzy.

Armia — w ustroju socjalistycznym — zbrojne ramię mas ludowych — stoi na straży zdobyczy i osiągnięć ludzi pracy, broni ich pokojowego wysiłku, postępowego ustroju społecznego — socjalizmu, strzeże granic przed zakusami państw imperialistycznych.

#### JAN POWAŁA

# ZNAD OKI



MIECZYSLAW MAJEWSKI: Na straży wybrzeża

oraz zlikwidowano całkowicie siatkę cywilną UPA.

Od samego początku wyzwolenia kraju żołnierze ludowego Wojska Polskiego wnosili i nadal wnoszą poważny wkład w rozbudowę gospodarczą naszej ojczyzny. Jednostki wojskowe, głównie zaś oddziały inżynieryjne, kolejowe, drogowe łączności i inżynieryjno-budowlane zbudowały wiele mostów, dróg kołowych i linii wysokiego napięcia. Trudno znaleźć dziedzinę życia społecznego, w której nie brałoby czynnego udziału żołnierz.

#### NASZE, LUDOWE

Wojsko spełnia olbrzymią rolę społeczną jako instytucja wychowawcza młodego pokolenia Polaków. Podnosi ono poziom wiedzy politycznej i ogólnej żołnierzy, podnosi ich kulturalnie uczy zawodu. W pierwszych latach po wojnie 10.000 żołnierzy nauczyło się w wojsku czy-

drogi między jednym skrajem lasu a drugim, gdzie wrzós fioletem przeczy błękitowi nieba; albo nad brzegiem rzeki, gdzie trzcina tak wiotka i nie tak wysocka...

I tylko przeskadzają te wyprute bebechy, tylko ta czaszka rozłupana jak gliniany czerep, tylko przeskadzają urwana ręka szybująca w konstelacje Oriona...

— Moja odcięta ręka świeci na niebie w konstelacji Oriona! Synowie umierają gdzie indziej... Żołnierze umierają gdzie indziej...

Umierali nad Marną i pod Verdun. Umierali w śniegach Norwegii i w płaskach Sahary, w błotach pod Lenino i w górach Apeninu, w brzoźowych zagajnikach i na schodach PASTY...

Po korytarzach Historii jeszcze dziś niesie się wszędzie krzyk Napoleona: Żołnierze są po to, żeby umierać! Krzyczy to, kiedy kolejny atak Francuzów na przekłety Wawóz zostaje odparty. Wtedy na Samosierzę ruszają Polacy: Kozietulski młody jak piorun się rzucił... Jeszcze się ostała ta bateria czwarta... Legendo, legendo... Wojenka, wojenka, cożes ty za pani, że za tobą idą chłopcy malowani...

...Kowalski — rozerwany granatem, Ignateczak — cztery kule w pachwinie, Nowak — od szrapnela, Marciniak — kula w pier-

si... Pamiętam, jak patrzył i skamlał umierając: „Wody... przyjaciele...”

Żołnierze są po to, żeby umierać!

„Ej, panie poruczniku wysmukły jak świeca ja wiedziałem, że ciebie kula nie ominie...”

Tak żołnierze są po to, żeby umierać, lecz tylko wtedy, „Kiedy przyjdą podpalić dom”. Wtedy — „Bagnet na broń!”

Tylko wtedy śmierć żołnierza ma sens...

Poeto Bronlewski — który był też także poetą — żołnierzem — podziwiając mozaiki na murach grobowca Tamerlana napisał:

„Człowiek jest dobry, mądry, spokojny,

poła chce orać pięknie i żyźne, głodu, powietrza, ognia i wojny nie chce...”

Ale napisał też w strofie poprzedniej jeszcze piękniej:

„Groby murszeją. Giną religie. Armie topnieją. Mną ich wzdowie.

Krew do podglebia wsiąka i stygnie — drzewo porasta nowym listowiem!”

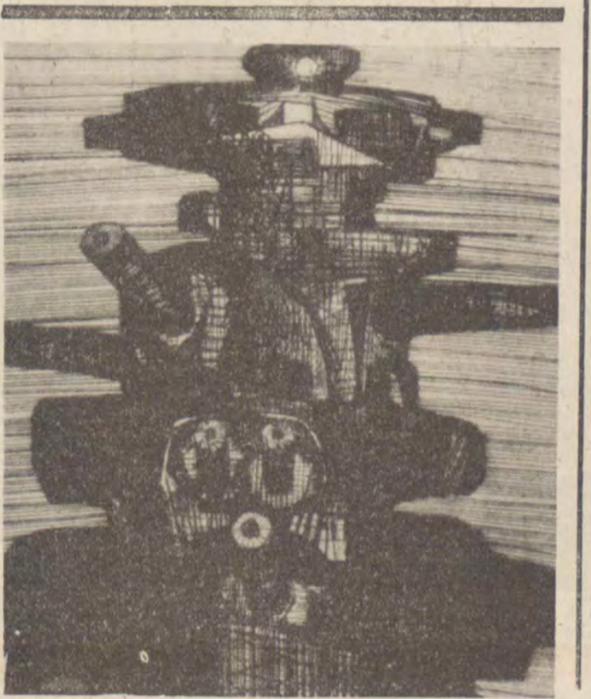
Na peronie koluszkowskiego dworca rejsowych — chłopaki jadą do wojska. Podpite i buńczuczne szumieją — ich dzień, ich prawo. W jednostce już się nimi zajmą. Bo żołnierze nie są tylko po to, żeby umierać.

A na razie niesie się z jednego końca peronu śpiew: Kapral jak to kapral, miał swoje kawaty — poruszył gałęzią, majtki pospadały; a z drugiego leci: A maszyna okopana i ukryta gdzieś w tececeenleeee jeeeest; a ze środka pociągu dają głos: Żol-

nierz dziewczynie nie sklaamiee...

Chłopaki szumieją — ich dzień, ich prawo. Od jutra ciężka, pracowita droga do przysięgi.

#### GLOBTROTTER



(Dalszy ciąg ze str. 6)

nych i zaginionych bez wieści. Drugi pułk — 600 ludzi, trzeci — 500. Postawa żołnierza była znakomita. Oficerowie jako indywidualni żołnierze walczyli doskonale, jako dowódcy — gorzej. Brakowało doświadczenia kilku lat trwającej już wojny. Bywiała została zaskoczona niewyjąkłą obrona przeciwnika i ustawicznym bombardowaniem z powietrza. Oddziały radzieckie dopiero pod koniec trzeciego dnia przeszły do kontrataku i odrzuciły przeciwnika na sześć kilometrów w głąb dawnej linii obrony.

A tymczasem w głębi Niemiec w oflagu Murnau panował głód. Pięć tysięcy oficerów stłoczonych wśród drutów na niewielkiej przestrzeni słuchało wieści nadchodzących z dudniącego wojną świata. Obóz łamał jednak ludzi — beczynność zabijała, hitlerowcy — też. Wspomina Stefan Majchrowski w swojej książce „Za drutami Murnau”:

„Niewola przeciągała się. Za bramę, nie licząc ucieczek, wiodła tylko jedna droga. Szło nią coraz więcej. Umarli chorąży Jan Lewicki, po nim podpułkownik dyplomowany Franciszek Stachowicz, major Decowski, podporucznik Ksawery Węgliński, podporucznik Antoni Wyszynski.

W Murnau nie zapowiadało się lepsze jutro. Abwehra tropiła ludzi, których przykład osobisty i działalność, zwłaszcza wśród młodzieży, nie odpowiadały programowym założeniom władz. Niemcy wywieźli pułkownika dyplomowanego Mariana Porwita, podpułkownika dyplomowanego Bianchi i podporucznika Józefa Tuckiego. (...)

Na cmentarzu parafialnym w Murnau były już liczne groby polskich oficerów. Przybywały nowe. W 1944 roku zmarł kapitan Bolesław Jus, potem generał brygady Czesław Miot Fijałkowski, podporucznik Alfred Rossowski, podpułkownik Borys Kondracki, podpułkownik Stefan Mrozek, podporucznik Roman Gębski, podporucznik Czesław Dąbrowski, podporucznik Walerian Łabucki, kapitan Juliusz Pawełek, porucznik Kazimierz Studziński, porucznik Bolesław Splawa Neuman, podporucznik Stanisław Góra.

Wstrząsem dla wszystkich była zwłaszcza śmierć tragiczna. A były wypadki, że jeniec z premedytacją szedł na druty, rzucał się z piętra na bruk lub wieszal na sznurze. Wyrzynał cztery lata niewoli, a nie przetrwał do końca”.

A do końca wojny było jeszcze daleko. Kampania letnio-jesienna wojsk radzieckich przesunęła linię walk nad Wisłę. W Warszawie wybuch powstanie. Na barykadach walczyli żołnierze-powstańcy. Oto relacja jednego z nich, Stanisława Komornickiego:

„Po usypisku gruzu, czeplając się spleźzonych belek zawalonych w tym miejscu betonowej konstrukcji dachowej, pełzaliśmy w kierunku wieży. Mamy kilka granatów i dwie butelki z benzyną, z którymi największy kłopot: trzeba się z nimi obchodzić jak z jaskółkami. Do wieży jeszcze spory kawałek, ale dalej iść nie można, bo stropy całkiem zawalone.

Przez wyrwę w murze widać plac Zamkowy. Właśnie do uszkodzonego samochodu pancernego podchodzi czołg. Ukryci w nim żołnierze zakładają linię holowniczą. Wicher celuje starannie i puszcza długą serię ze szmaszera. Niemcy padają. Tylko jeden zostaje koło czołgu. Dwaj inni błyskawicznie kryją się pod pancerką. Niestety, hoł zdażył już zalażyć. Czołg wolno podlega samochód do wieży zegarowej. Grenadierzy wybiegają z bramy i pod osłoną pancernych pojazdów wycelują się na Nowy Zjazd. Rzucamy obie butelki i dwa granaty. Nie dolatują.”

W styczniu 1945 ofensywa radziecka przyniosła wyzwolenie umęczonej Warszawy — uczestniczyła w operacji I Armia Wojska Polskiego pod dowództwem gen. Stanisława Popławskiego. W międzyczasie powstała II Armia Wojska Polskiego pod dowództwem gen. Karola Świerczewskiego. Toczą się ciężkie walki o Wał Pomorski, rywalizującą dostęp do Bałtyku. Oto wspomnienia pielęgniarzek frontowego szpitala, z książki A. Latoszek i J. Piomienica: „Bose i obdarte”:

„Ciężkie walki o ryglową pozycję Wału Pomorskiego” sprawiły, że rannych mieliśmy przeszło pół tysiąca. Budynek administracyjny nazwano oddziałem ewakuacyjnym. Około stu ciężko rannych oczekiwało tam swojej kolejki. Róg hali ogólnej zagrodzono przepierzeniem i w ten sposób powstała sala operacyjna. Za oknami buczyły z samochodu nie milknące ani na chwilę motory polowej elektrowni. Blask ogromnych lamp łukowych zda się wypalał nam oczy. Pozywały się wszelkie dyżury, nie miał kto nas zmieniać. Ciągłe musiały nas budzić z drzemiłki starsze siostry lekarze, ba... nawet ranni! Udawało się tu i ówdzie zasnąć na chwilę, przytulić się, ukryć, ale kiedy odpoczywał starszy personel? Kiedy właściwie spali lekarze? Sam komendant chodził w białym kitlu, asystował przy operacjach jako instrumentariusz — świetnie się na tym znał, był podobno szefem jakiejś składnicy w wojsku sanacyjnym. (...)

(Dalszy ciąg na str. 9)



ADAM BUNSCH: *Zołnierz Polskiej Brygady Spadochronowej*

## KONRAD FREJDLICH

### allegro con brio

przywykliśmy rodzić się w antyseptyce cmentarza  
na śmierć odporni po nieczułość grobu

biegły w akuszerii czerw w świat nas wprowadził  
między wrzesniem i sierpniem gdy pachną najmocniej  
ciała na pleśń i męstwo podatne jednako

przywykliśmy rodzić się za późno przedwcześnie  
gdy niebo całe w strupach pod bandażem nocy  
a pamięć trzeba od kości oddzielać

listopady stycznie sierpień maj zwycięski  
jaki jeszcze kalendarz da nam europa

beethoven zawsze miał w polsce słuchaczy  
symfonia es-dur zwłaszcza przez to nieśmiertelna  
że ją u nas matki od pokoleń  
nieświadomie nucily synom do kołyski



STANISŁAW ŻÓLTOWSKI: *Przeprawa na przyczółek czerniakowski*

## JERZY WILMAŃSKI

### Rozmowa z kombatantem

Spytałem — co pamiętasz

Powiedział — komary nad Oką  
tam były stada komarów  
i sosny strzelały wysoko  
i było lato...

Pamiętasz — spytałem — ten napis  
„Witaj żołnierzu — tulaczu”

Czytałem o tym — powiedział

Pamiętasz — spytałem — ten atak  
Połzuchy i Trygubowo

Czytałem o tym — powiedział  
— ja tylko pamiętam przymrozek  
gruda rozcięła mi czoło  
kiedy upadłem pod serią

Nieprawda — mówię — że gruda  
zmyśliła tamte komary  
to przecież była Historia

Czytałem o tym — powiedział  
Ja miałem dwadzieścia lat  
i chciałem wrócić do domu

## TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

### Odmarsz 7 Pułku Ułanów

Nocą śniła się burza. Coś tłukło nad ranem,  
Jakby nagle, z powietrza ktoś chciał ubić pianę.

Świt był startem motyli. Wzdłuż Srebrnej i Piachów  
Chwiał się nisko baleon łąkowych zapachów...

Wtedy właśnie spadł płomień. Nim przejrzał się w  
wodzie,  
Już las spłonął dokoła i róże w ogrodzie...

A jeszcze wpięć na rynku, skąd się brało nabiał,  
Perliczkę na niedzielę i śledzie na szabas

I tak wiele na tasach grzechotek, lusterek —  
Stanął w stuku kopytnym za szeregiem szereg.

Włos na jeża, mundury z piwonii i trawy,  
I tornistry z głęboko skrytymi buławy.

I dłonie patetyczne, bo na furdymencie —  
Ów gest, w jakim rekruckie snobuje się zdjęcie.

Długie lance — po których skaczą stada iskiei.  
I sympatie pod murem — szkoda, że nie wszystkie.

„Kawalira” pożegnać — szlachetny uczynek...  
Więc jeszcze jeden Kossak wmalowany w rynek.

Dodaj warkot z afisza i głośnik na krzaku,  
I niebo dziwnej barwy gotowanych raków,



WLADYSŁAW GOŚCIMSKI: *Berlin 80 km*

I błysk szabel ostatni — tak z płótna lśni werniks.  
Ryczeliliśmy z chodników: na Berlin! na Berlin!

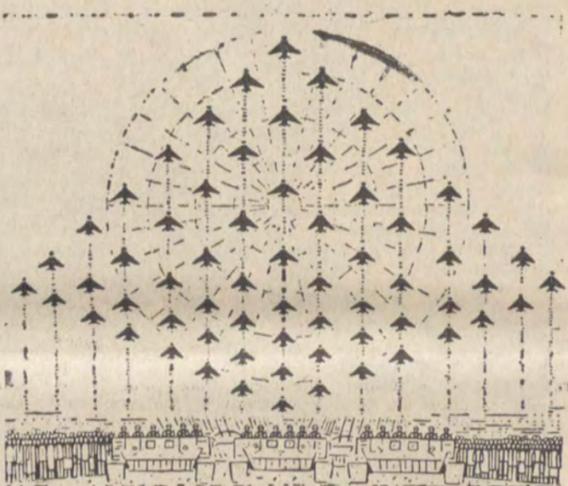
Pułkownik podniósł rękę i koniem okrecił,  
I z palcami przy daszku skacze w nurt pamięci...

Bo już Czas — bóg żelaza, iluzji, motyla —  
Wrzasnął głosem kaprała — pułk lance pochyła,

Most dudni, gra horyzont sztywno jak kurtyna.  
Ogłaszaliśmy alarm dla miasta Berlina...

Ale pułk nas nie słuchał, bo gdy znów błysł ranek,  
Odbiegł w niebo czerwone, ręcznie malowane.

1960



ANTONI BORATYŃSKI: *Defilada wojskowa*

## JÓZEF H. WIŚNIEWSKI

### Ci z Westerplatte

STANISŁAWOWI TRELI OBROŃCY Z WESTERPLATTE

Ci z Westerplatte  
nigdy nie ulegli  
otwierając powietrze  
tę chromą osłonę  
pazurami się wdarli  
w piasek i historię

Ci z Westerplatte  
nigdy nie ulegli  
plując w twarz Europie  
upodłonej strachem  
silniejsi od żelaza  
i krwią i żelazem

Ci z Westerplatte  
nigdy nie ulegli  
choć półwysep się ugiął  
pod grobów ciężarem  
i pod butem najeźdźców  
pękały granice  
oni już przestawili  
zwrotnice historii

Ci z Westerplatte  
nigdy nie ulegli  
we własnej krwi nurzali  
białą hańbę flagę  
i trwali do ostatka  
aż ją nasz żołnierz wyniósł  
wiosną nad Reichstgiem  
od krwi ich dumną i czerwoną

Mimo niesłuchanego terroru i represji junty, naród chilijski stawia jej masowy opór zbrojny. Polityczni obserwatorzy tych wydarzeń wyrażają przekonanie, że walka dopiero się zaczyna, że naród chilijski jest zdecydowany kontynuować, rozpoczęte przez prezydenta Allende, dzieło przeobrażeń socjalnych.

Relacje naocznych świadków puczu w Chile, którym udało się przedostać za granicę, mroziły krew w żyłach. Oblawy, rozstrzelania i walki nie ustaly do dnia dzisiejszego. W dniu święta narodowego Chile — Dniu Niepodległości — kiedy junta in corpore, z całym cynicznym zakłamaniem słuchała nabożeństwa w kościele katedralnym, w stolicy rozpoczęto kolejną oblawę w dwóch największych dzielnicach, na południowych peryferiach miasta. W tej „operacji” brały udział całe pułki wojsk lądowych oraz eskadry śmigłowców. Liczba więźniów politycznych rosła z godziny na godzinę. W całym kraju stworzono obozy koncentracyjne.

W ostatnich dniach września przebywał w Chile specjalny korespondent turyńskiej „Stampy”, Francesco Rosso.

Oto jego relacja:  
„W ciemnościach ktoś

nie rent i emerytur. Kolejki przed sklepami, głównie spożywczymi. Ktoś mówi, że „objawily się” znaczne zapasy różnych produktów żywnościowych, a zwłaszcza kartofli.

Co krok ślady walk. „Nie masz pojęcia co tu się działo” — opowiada pewien mój chilijski przyjaciel. — Santiago przypominało wielkie pole bitwy. Po ulicach przeciągały czołgi, strzelając do domów mieszkalnych, niszczyły fabryki. Był to dzień straszny, przerażający.”

Ulica Thomasa Moro, bardzo elegancka ulica w dzielnicy Colon, na której znajdowała się rezydencja prezydenta Allende. Pociski skruszyły mury ogrodzenia, zburzyły piękny budynek. Wielu jego obrońców poległo, walcząc do końca. Instytut Techniki zburzony do fundamentu. Studenci stawiali zacięty opór i nie podali się wojsku. Pewien młody człowiek, który zdążył się ukryć w ostatniej

O tysiącach ludzi wtrąconych przed juntę za druty kolczaste opowiadał Francisco Flucha, prezydent chilijskiej Federacji Piłki Nożnej:

„Co najmniej 26 członków rządu prezydenta Allende deportowano na wyspę Navarini na południowych rubieżach kraju. Uwięzieni na stadionie sportowym w Santiago są nieustannie przesłuchiwanymi przez władze wojskowe...”

**Inna relacja:**  
„W stolicy, przed sklepami, długie kolejki, ludzie pragną kupić choćby trochę żywności. Wojsko nie jest w stanie uporządkować spraw zaopatrzenia. Żołnierze, rozstawieni na wszystkich skrzyżowaniach ulic, tłumią każdy najmniejszy nawet odruch protestu wygłodzonych ludzi. Prawie wszystkie fabryki i inne zakłady pracy są nieczynne. Jedne zajmują jeszcze robotnicy, inne zostały doszczętnie zniszczone w trakcie walk. W mieście panuje atmosfera podenerwowania i niepewności...”

**Inna relacja:**  
„Opór trwa, chociaż trudno określić jego skalę i siłę. Uzbrojeni partyzanci potrafiliby na przykład wziąć szturm komisariat policji w centrum Santiago. Walka trwała długo. Żeby odeprzeć atak partyzantów, karabi-

wał do ruchu konspiracyjnego. W obecnym stadium chodzi, być może o ocalenie podstawowej części organizacji z późniejszym zamiarem przejścia do walki zorganizowanej i wyraźnie ukierunkowanej.

Prasa światowa nie wróży chilijskiej soldatesce sukcesów w rządzeniu krajem. I tak:

**„THE OBSERVER”**  
„...Odnosi się wrażenie, że ruch oporu w Chile przybiera nowe formy i przygotowuje się do dalszej, bardziej zakonspirowanej walki, która może trwać lata... Generalny sekretarz Socjalistycznej Partii Chile, Carlos Altamirano, w przemówieniu wygłoszonym w przeddzień puczu uprzedził, iż każda próba przewrotu „wojskowego wtrąci kraj w otchłań walk na skalę wojny w Wietnamie...”

**„NEW YORK TIMES”**  
„...Okoliczności, w jakich wojsko przechwyliło władzę w kraju, w którym na przestrzeni dziesiątków lat przeważała władza cywilna, nie wróży spełnienia nadziei mas chilijskiej biedoty, która pozostała wiernym sojusznikiem Allende aż do samego końca. Nie należy także zapominać o groźbie wojny domowej...”

**„NUESTRA PALABRA”**  
„...Najbardziej błyskotliwym i zręcznym politykiem



(Dalszy ciąg ze str. 7)

Tymczasem nadal zwożono nam pokiereszowanych rannych w koszulach czarnych jak święta ziemia, utylanych w próchnie, igliwiu i chruscie. Przybył transport rannych popalonych czołgistów Czerwonej Armii. Ogluszonych, uwalanych oliwą, w zetknięciu łacnmanach, o plecach zbablowanych jak gnojówka w czas ulew, z wypalonymi zrenicami, z policzkami porażonymi płomieniem. Zostali ułożeni lawą jak snopy. Ci, których opatrywaliśmy, zachowywali się mężnie, rzadko kiedy wyzwał się pod więzbie hali dziki ryk. Ci oczekujący swojej kolejki zaciśkali szczęki próbując je zawczasu. Znali przecież ów nieludzki ból już z pierwszego opatrunku. Teraz rzeli przeżyć ten drugi, najpotworniejszy z wszystkich na wojnie, wyciskający mocz i kał!

Oddawano nam w opiekę szturmowe Walu Pomorskiego. Tych zblakanych bohaterów lasów i zagajników, którzy zgubili sami siebie w chaosie obcych wsi, w huku eksplozji i krzyku komend. Byli mocni i dzielni, lecz zalamywali się przed własnym głosem, plakali i szlochali, to znów zrywali się z takim wyrazem twarzy, że tylko dać im automaty, a zdawało się, że pobiegną raz jeszcze na drapieżne zasieki i zionące bunkry.”

Wojsko wciąż szło naprzód i naprzód. W finałowej operacji tej wojny — w zdobyciu Berlina brało już udział 200 tysięcy polskich żołnierzy. W tym samym mniej więcej czasie II Armia wyzwalała Czechosłowację i krwawiła pod Budziszynem w bitwie z pancernymi zagonami, zdążającymi na odsiecz Berlina.

A tam, w rejonie Charlottenburga Chausse walczy już trzeci pułk „Pierwszej Warszawskiej”. Drugi pułk zdobywa silnie broniony kompleks Politechniki i naciera na Tiergarten. Pierwszy pułk przez Bismarckstrasse dochodzi do Politechniki... Trzeci pułk dociera do Bramy Brandenburskiej...

W dniu 2 maja 1945 we wczesnych godzinach popołudniowych kapitulowały niemieckie oddziały broniące Berlina. Na Kolumnie Zwycięstwa zatknięty został białoczerwony sztandar. Pisze Cezary Leżeński w książce-dokumentacji „Żołnierskie drogi”:

„W czasie walk wdrapał się na Kolumnę porucznik Troleki i zatknął drzewce ze szczytami, napędca pasami białego, płótna i czerwonego materiału. Na pruskiej kolumnie łopocze polski znak zwycięstwa nad zwycięstwami...”

A oto relacja gen. Stanisława Popławskiego:  
„Po załamaniu Bramy Brandenburskiej zrezygnie wspinają się polscy i radzieccy żołnierze, trzymając w ręku radziecki czerwony sztandar z sierpem i młotem oraz biało-czerwony sztandar polski. Umocowują je jeden koło drugiego. A na dole w cieniu sztandarów państwowych dwóch sojusznicy krajów rozlegają się dźwięki harcywni grającej to rosyjską „Bariniu”, to krakowiaka; dziańsko tańszą Rosjanie i Polacy”.

Do Warszawy przesłano rządowi Polski Ludowej następujący meldunek:

„Podczas szturm na Berlin 1 dywizja piechoty im. T. Kościuszki opanowała 36 rejonów, 4 stacje metro, kompleks budynków politechniki, 7 fabryk, w tym podziemną fabrykę samochodów w rejonie Tiergarten. Zdobyła 15 dział pancernych, 8 czołgów, 28 dział, 82 cekaemy, ponad 3 tys. karabinów. Wzięto do niewoli 2500 hitlerowskich żołnierzy i oficerów. Na polu walki nieprzyjacieli stracił ponad 3 tys. zabitych. Zniszczono 120 cekaemów, 17 dział i wiele innego sprzętu bojowego nieprzyjaciela”.

Tak skończył się bojący szlak Ludowego Wojska Polskiego od wioski nad rzeką Oką — do samego serca hitleryzmu. Dziś to już historia, trudna lecz piękna historia, którą przywołujemy pamięci, aby słowami uczestników tamtych wydarzeń dać jej świadectwo.

## Relacje naocznych świadków

grzmi przez megafon: „W interesie wspólnego bezpieczeństwa schodźcie gęsiego”. Głos, starający się przekrzyć huk silników samolotu odrzutowego, brzmiał złowrogo. Za chwilę lądujemy. Na lotnisku w Santiago wygaszone światła. Tak odbywa się pierwsza podróż zagranicznych dziennikarzy, którym zezwolono udać się do Chile, po tygodniowym oczekiwaniu w stolicy Argentyny.

Jeszcze ponad trzy godziny trzymają nas na lotnisku, aż do zakończenia godziny policyjnej. Tymczasem zrolilo się już widno. W Santiago długie kolejki kobiet przed sklepami spożywczymi. Wszędzie masa samochodów ciężarowych z żołnierzami, karabiny wyceLOWANE w okna domów. Na ulicach pustki, nieliczni prze hodnie idą wolno, bojaźliwie.

Wychodzę na duży plac przed pałacem prezydenckim „La Moneda”. Fasada, okna, neoklasykistyczne kolumny — pogruchotane pociskami i bombami, pełno gruzu. Nic się tu nie zmieniło od dnia, kiedy wojska junty zaatakowały siedzibę prezydenta Chile: odłamki sztukaterii, rozdarłe arkusze blachy, kawałki żelaznych krat nadal zaściewają trotuary.

Tragedii Chile nie widać końca. Długa kolejka starszych ludzi wije się przed gmachem ministerstwa finansów, oczekując na wyplac-

chwili, onowiał mi, że uciekał stając po trupach obrońców. W mieście nadal grzmią wystrzały. Nie ulega wątpliwości, że tragiczne dni Chile nieprędko zostaną zapomniane...”

**A oto relacje uciekinierów z Chile, które zebrał korespondent „Stampy” w Buenos Aires:**

„Zwolennicy obalonego rządu nie poddają się” — opowiada działacz Chilijskiej Federacji Piłki Nożnej, który prosi o nie ujawniania jego nazwiska. — W niezliczonych walkach ulicznych w Santiago zginęło około dwóch tysięcy żołnierzy junty. Może pan sobie wyobrazić, ile było ofiar, jak był rozmach tych walk. Żołnierze junty dokonywali masowych zabójstw robotników, okupujących fabryki. Po zajęciu broniowych zakładów pracy natychmiast rozstrzeliwali z broni maszynowej wszystkich, kogo tylko zastali wewnątrz.

Huk wystrzałów dochodził ze wszystkich stron miasta. Zwolennicy prezydenta Allende walczyli twardo, zawzięcie, niszcząc całe oddziały wojska. Na jednym z przedmieść oddział uzbrojonych robotników zwałił do zasadzki autobusy z karabinierami. Tylko nieliczni żołnierze uszli z życiem. Wojsko odpowiadziało okrutnymi represjami: wszystkich walczących, którzy w tym rejonie miasta wpadli im w ręce — rozstrzeliwali na miejscu...”

niezry musieli wprowadzić do walki lotnictwo.

W Valparaiso, największym porcie Chile, położonym zaledwie 140 kilometrów od Santiago, mieszkańcom w ogóle nie wolno wychodzić z domów.

W Rancagua wysadzono w powietrze maszt radiowy centrum telekomunikacji. W pobliżu znajduje się kopalnia rudy miedzi „El Teniente” z 13.200 górnikami.”

**Jeszcze inna:**  
„Wojsko rzuciło do walki duże siły piechoty, wspomaganą przez artylerię, żeby rozbić ugrupowanie partyzantów, zajmujących 22-piętrowy budynek w centrum stolicy, usytuowany na wprost głównego gmachu Uniwersytetu Katolickiego. Chociaż od przewrotu minęło już wiele dni, zwolennicy prezydenta Allende nadal walczą w centrum stolicy...”

Obserwatorzy krwawego puczu w Chile odnoszą wrażenie, że opór przeciwko juncie przybiera stopniowo charakter wojny partyzanckiej, chociaż najprawdopodobniej nie posiada ona jeszcze scentralizowanego dowództwa. Walki toczą się w różnych rejonach kraju.

Różne formy ruchu oporu, jak zajęcia fabryk przez przywódców związkowych, walki partyzantów o ściśle ograniczonym zasięgu, walki o charakterze obronnym i in. wskazują, jak przypuszczają się, iż główne czyny koalicji proallendowskiej weszły na drogę przygoto-

byłoby dziś koszmarne trudno kierować państwem chilijskim. A przecież wszyscy przywódcy junty nieustannie powtarzają, że nie są politykami. Jeden z nich, pułkownik artylerii, powiedział wręcz: „Umiem dobrze strzelać, ale polityka nie należy do mojej formacji...”

**„FINANCIAL TIMES”**  
„...Przewrót wojskowy był stosunkowo najprostszym dokonaniem junty. Ale teraz czeka wojskowych o wiele trudniejszy problem do rozwiązania: rządzenie tym wzburzonym i zbrocznym krwią krajem. Ludność Chile do końca swoich dni nie zapomni daty 11 września 1973 roku... Można z całą pewnością powiedzieć, że większość Chilijszczyków jest wrogo nastrojona wobec junty. Nie można zapominać, że rząd Allende otrzymał blisko 45 procent głosów na wyborach w dniu 4 marca...”

**„THE GUARDIAN”**  
„...Dokonując przewrotu, generałowie i pułkownicy wzięli na siebie ogromną odpowiedzialność. Wojsko liczy, być może, na to, że armia jest dostatecznie jednolita, żeby móc uniknąć wybuchu wojny domowej. Ale jest to wielkie ryzyko. Junta wkracza dziś, w próżnię polityczną, lecz w atmosferę tak dalece napiętą politycznie, że jakis wybuch jest nieunikniony...”

J. CZECH

JERZY WILMAŃSKI



„PKS-EM DO UNIEJOWA”

Biurowisko Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Łodzi zasymulowało Zarząd Wojewódzkiemu Przedsiębiorstwu PKS w Łodzi o ukazaniu się w tygodniku „Odgłosy” nr 35 z 2.5. 73 artykułów prasowych pt. „PKS-em do Uniejowa” oraz „Nie odpowiedzieli na krytykę”.

W związku z drugim artykułem Zarząd WP pragnie wyjaśnić, że

zgodnie z postanowieniami przepisów Uchwały nr 151 Rady Ministrów z 30 lipca 1971 r. w sprawie organizacji przyjmowania, rozpatrywania i załatwiania skarg i wniosków (Monitor Polski nr 41 z 7.8. 71 r.) zobowiązani jesteśmy do bezwzględnego powiadomienia redakcji prasowej o sposobie załatwienia spraw poruszanych w artykułach lub notatkach prasowych. Jeżeli te artykuły lub notatki zostały przez Redakcję przekazane i o ile takiego powiadomienia żądano (§ 23 p. 1 i 2).

Zarząd WP nie stosuje się ściśle do wyżej wymienionego przepisu i w zasadzie odpowiada na wszystkie znane notatki prasowe, jednak ze względu na prenumeratę tylko codziennej prasy łódzkiej niektóre artykuły, szczególnie w wydawnictwach okresowych, mogą nie dotrzeć do naszej wiadomości.

Po uzyskaniu powiadomienia z Prezydium WRN Zarząd WP zaopatrzył się w odpowiednie numery „Odgłosów” i obecnie może udzielić pewnych wyjaśnień.

Tak w artykule „PKS-em w Polsce” jak i „PKS-em do Uniejowa” tylko niektóre fragmenty dotyczą tutajskiego Przedsiębior-

stwa. Większość zarzutów dotyczy Przedsiębiorstwa PKS w Lublinie i Poznaniu. Do szczegółowego ustosunkowania się brakuje nam ściślejszych danych (daty, godziny, itp.) niemniej możemy zająć stanowisko w zagadnieniach ogólnych.

1. O ile zatrzymanie autobusu między przystankami dokonane zostało przez służbę rewizorską, nastąpiło ono zgodnie z obowiązującymi przepisami, ponieważ ze względu na nagminność nadużyć tak w miejscowościach dokonywania kontroli jak i dojazd do miejsca kontroli nie można rewizorów ograniczyć. Inni pracownicy PKS nie mają specjalnych uprawnień do zatrzymywania autobusów poza przystankami.

2. Istnieje ścisły zakaz wysyłania autobusów z usterekami na obsługiwane tras komunikacyjnych, a szczególnie na linie dalekobieżne. Odstępstwo od tej zasady jest przewinieniem indywidualnym i dlatego konieczne jest ustalenie imienne osoby, która przewinienia dokonała.

3. Do wysłania autobusu zastępczego za autobus uszkodzony, bez względu na przynależność oddziałową PKS upoważniony jest dyspozytor taboru i dla

dokonania takiej podmiany nie jest konieczna zgoda dyrektora.

O ile Redakcja uważała by za stosowne udzielenie szczegółowych wyjaśnień oraz zajętą stanowiska w stosunku do poszczególnych pracowników, prosilibyśmy o podanie dodatkowych informacji, które umożliwiłyby ustalenie personalne osób.

ZDZISŁAW FORNAŃSKI  
dyrektor Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa PKS w Łodzi

OD REDAKCJI: Zamiast komentarza przypominamy fragment naszej publikacji z nr 17 „Odgłosów” z 29 kwietnia 1973 r.: „Niech mnie więc dyrekcja PKS nie pyta, którego to było dnia, jaki numer autobusu i czy kierowca miał przy piwnie czy niebieskie. Dyrekcja PKS wie dobrze, że takie praktyki są powszechne — wszyscy o tym wiemy. Nie myś — pasażerowie — bierzemy pensje kontrolerów i dyrektorów, a żeby bawić się w łapanie jednego ze stu kanciarzy. Problem musi być załatwiony kompleksowo, a nie zakłajstrowany jednostkową represją finansową, która niczego nie załatwi”.



## FILM

# „HELGA” jako sprawa

Po dwóch tygodniach wyświetlania zachodniemieckiego filmu „Helga” wiadomo już na pewno, że do czynienia mamy z bestsellerem, film wyświetla się w dwóch kinach przy pełnej widowni, którą stanowią młodzież. W kategoriach bestsellera o filmie tym mówić jednak nie sposób, trudno również krytyce filmowej rozważać „Helgę” wedle przyjętych dla sposobów mówienia o utworze filmowym kryteriów. Obowiązkiem naszym pozostaje odnotowanie faktów, postawienie kilku narzucających się pytań, a w najbliższej przyszłości oddanie głosu tym, których opinie mogą posiadać charakter autorytatywny.

„Helga” czyli fabularyzowany film popularnonaukowy po raz pierwszy wprowadził u nas na ogólnie dostępne ekrany kinowe temat, którym jest wychowanie seksualne. Ogromne powodzenie tego filmu wśród młodzieży (formalnie od lat 14) i towarzysząca całemu zdarzeniu prawie atmosfera sensacji winna zdumiewać, jeśli zważywszy fakt, że podjęte i przedstawione w tym filmie zagadnienia, teoretycznie, dla wszystkich objętych w kraju naszym szkołą młodych ludzi winny być normalnością. Lekcje biologii, w której działają anatomii i rozwoju człowieka mają swe miejsce, specjalne przez seksuologów i psychologów prowadzone wykłady z zakresu wychowania seksualnego winny o normalności tej świadczyć. Czy casus „Helgi” normalności tej zaprzecza? A może sugestywny obraz filmowy któremu towarzyszy wyważone słowo wykładu czy komentarza spełnia lepiej zadania przez szkołę powierzone nauczycielowi? Gdyby z tym faktem zgodzić się, a wszystko świadczyłoby, że tak, to zapytajmy, czy pedagogicy i wychowawcy dysponują w swej pracy odpowiednią ilością i jakością filmów poświęconych temu problemowi i czy z nich korzystają?

Według aktualnej informacji „Filmosu”, od niedawna co prawda, filmy takie istnieją. Podaję przykładowe tytuły: „Okres dojrzewania u dziewcząt”, „Okres dojrzewania u chłopców” (filmy dla kl. VIII) i filmy dla młodzieży starszej, dotyczące chorób wenerycznych, spraw bezbolesnego porodu, pielęgnacji niemowląt i zagadnień rozwoju fizycznego i psychicznego małych dzieci. Filmy te uzyskały różne oceny ze strony znawców problemu, którzy podkreślają szczególną potrzebę wysokiego poziomu i odpowiedniego przystosowania do wieku odbiorców. Na pewno filmów tych jest zbyt mało, to prawda, ale jednocześnie prawdą jest, że temat wychowania seksualnego i rodzinnego to nie ziemia dziewicza na terenie naszej filmowej produkcji i dystrybucji. Czy więc filmy te nie trafiają do szkół, czy może ich ogląd i interpretacja nie znajduje w szkole właściwej atmosfery?

Przecież „Helga” dopuszczona na ekrany szerokiego rozpowszechniania jest wykładem popularnonaukowym tematów, które przytoczone wyżej filmy podejmują — a w żadnym wypadku nie można uznać, że zawarty w „Heldze” sposób wykładu i jego zobrazowanie prezentuje najwyższy poziom metodycznej koncepcji i sposobu realizacji. Nie usurpując sobie żadnych praw do obiektywnej — merytorycznej i metodycznej oceny, sądzę, że nie będę odesobniona w poglądzie, iż „Helga” jest filmem kontrowersyjnym głównie ze względu na realizatorską koncepcję tego filmu.

Wątpliwość pierwsza dotyczy próby sfabularyzowania całego wykładu. Jeśli uznano to za konieczne (może słusnie chęć wprowadzić momenty psychologicznego rozładowania), to czemu pozbawiono watek fabularny podstawowych choćby elementów psychologii miłości. Powstało opowiadanie pozbawione klimatu i ciepła, przedstawione z wdziękiem słoniu lub po prostu niemiecką pedanterią i brakiem wyobraźni.

Wątpliwość druga wiąże się z faktem, iż niewątpliwie pierwsza część filmu adresowana jest do rodziców i trudno domyślić się powodów przedstawienia jej ich dzieciom. Chyba że w celu (może słusznym?) kompromitacji świata dorosłych, bezradnych jeszcze w dzisiejszym świecie wobec tzw. spraw wstydlivych.

Wątpliwość trzecia — najistotniejsza dotyczy możliwości percepcyjnej części zasadniczej — wykładu popularnonaukowego obejmującego olbrzymią ilość zagadnień związanych z: anatomią i fizjologią człowieka, procesem rozwoju płodu, opieki nad kobietą ciężarną, aktu rodzenia i wreszcie pielęgnacji dziecka. Temat to ogromny, nie mieszczący się w tym wymiarze, w jednorazowych możliwościach odbioru przez 14- to czy nawet 18-letnią młodzież. W efekcie pożytek dydaktyczny tego wykładu wydaje się wątpliwy. Jego rozbięcie na kilka filmowych tematów spełniłoby rolę znacznie pożyteczniejszą. Ośmielam się również wyrazić wątpliwość, czy naturalistycznie pokazany w filmie akt porodu dostosowany jest do możliwości psychologicznej 14-letniej młodzieży.

Jeżeli jednakże młodzi ludzie wypełniają filmowe sale do ostatniego miejsca, znaczy to, że film zaspokaja pewne zapotrzebowanie nawet, jeśli zostawimy jakiś margines dla sensacji, którą stworzył bezprecedensowy wypadek, jakim jest na pewno projekcja „Helgi” na ekranach kin. „Wiesć gminna” niesie bowiem informacje szybko, ale raczej nie o sensacjach ero- czy pornograficznych tego filmu mówi, bo ich w nim nie ma. Pełen powagi sposób odbioru (film oglądaliśmy w sali kinowej) „Helgi” przez młodą widownię świadczyłby o tym, że sensacyjność tego filmu ma jednak inny wymiar.

Wątpliwość ostatnia, związana z poprzednią, dotyczy pytania, czy słuszenie film ten wprowadzono do ogólnego rozpowszechniania. Czy nie słusniejszy byłby ogląd tego filmu w grupach zorganizowanych, mogących liczyć na późniejszą rozmowę i dyskusję, dopełniającą projekcję filmu. Co jednak wówczas uczynić z grupą młodzieży, która jest już poza bezpośrednią opieką szkoły? Jej ten film jest również potrzebny. Pytania dziś postawione, odrzucające sensacyjne mówienie o sprawie „Helgi” dotyczą samego mówienia o problemach wychowania seksualnego w naszym społeczeństwie. Jeśli nawet mamy wobec filmu „Helga” i sposobów jego rozpowszechniania wątpliwości, jemu zawdzięczamy powrót do spraw, o których dziwnie u nas nadal cicho.

EWA NURCZYŃSKA

## TEATR TELEWIZJI

### „KRUKI” — BECQUE'A

„Kruki” napisał Henri Becque (1837—1899) autor wielu utworów scenicznych z których tylko „Paryżanka” i wspomniane przez TV „Kruki” obroniły się przed czasem. Obroniły? Czy nie za wiele powiedziane. Czy postulat twórcy naturalizmu Emila Zola, by przedstawiać w sztuce życie takim jakie jest — może obecnie spotkać się z zainteresowaniem odbiorców. Ależ tak! — odpowie wiele przytaczając przykłady poczytności książek autora „Germinalu”. Koneser sztuki wzruszy tylko ramionami i jeśli coś powie to chyba tylko tyle, że odpisywanie z życia nie jest sztuką.

Spore też kłopoty miał Jan Błoński rekomendując krakowski spektakl, ale mimo różnych wątpliwości nie trzeba się wzbraniać przed powiedzeniem, że naturalistyczne „Kruki” mają swój sens. Są sztuką żywą, logiczną i zwanie skonstruowaną, mimo archaicznego sztafażu mają swój kontekst współczesny — jak zawsze ma swój punkt odniesienia do współczesności dramat postaw (np. choćby Marii zagranie z dużym powodzeniem przez Budzisz-Krzyżanowską).

Nie od rzeczy będzie również przypomnieć historyczną wartość sztuki, jej śmiałość jak na czasy, w których powstała. Odczłowieczenie, kult pieniądza, bezwzględna walka o byt pokazane poprzez dramat rodziny bezbronnej po śmierci ojca — ma swój ludzki wymiar, a przez to przemawia do odbiorcy w sposób szczególnie sugestywny.

Reżysera Józefa Słotwińskiego wsparli dużym kunsztem aktorzy, przede wszystkim Halina Gryglaszewska (matka) i Eugeniusz Fulde (wspólnik jej męża).

W sumie sztuka dobrze zrobiona i zagrana. I dobrze że ją przypominano.

### „W ZACISZU” — B. BREZOVSKY'EGO

Telewizja poznańska zaprezentowała utwór współczesnego pisarza czechosłowackiego Bohuslava Brezovsky'ego „W zaciszu”. Powiem od razu, że ten utwór pomyślany prawdopodobnie jako dramat psychologiczny, w moim przekonaniu, nie udał się autorowi. A to co zobaczyliśmy na szklanym ekranie było już tylko konsekwencją powyższego.

Nie chodzi mi przy tym o to, że autor przyjął wysłużoną (ktoś może powiedzieć, wypróbowaną) konwencję małżeńskiego trójkąta. Ostatecznie od paru dziesiątków lat nie lepszego niż wymyślono. Jednak B. Brezovsky tego schematu nie wypełnił treściami, które mogłyby nam dać coś do myślenia lub (ostatecznie) wzruszać nas.

Trzeba przyznać jednak, że pierwsze wrażenia są odmienne. Autor umie tworzyć nastrój, dawkować napięcie, oszczędnie, z dużą kulturą literacką prowadzi dialog, który ma swój podtekst. Jednakże więcej, znacznie więcej, zapowiada niż w końcu otrzymujemy. Dziennikarz Pavlas (Zdzisław Krauze) w końcowej scenie mamroce coś o samobójstwie, kiedy cała historyjka dogrywa się po jego myśl. Jego żona, była pianistka (gra ją Kazimiera Nogajówna, i jest to najlepsza rola w przedstawieniu) nie potrafi dla swojego wyboru znaleźć żadnego intelektualnego uzasadnienia. A przecież nie jest to wybór pod wrażeniem chwili.

Po willi Pavlasów kręci się przez cały czas autostopowicz, który „wie wszystko” od pierwszego wejścia. W związku z czym wygłasza przemądrzale sentencje o życiu, osądza wszystkich tylko nie siebie. Jeśli w zamysle autorskim miał spełniać rolę komentatora do rozgrywania się wydarzeń, to był to komentarz co najmniej niepotrzebny.

### „MASKARADA” — M. LERMONTOWA

Reżyser Konstantyn Cicziszwill otworzył „Maskaradę” nowy sezon teatralny w TV. Dodajmy od razu, że w sposób bardzo udany, zrobił, miejmy nadzieję, dobry początek. Autor przedstawienia ma już na swoim koncie wiele utworów rosyjskich i radzieckich, które przedstawił polskiej publiczności. Nie po raz pierwszy sięgnął też do Lermontowa.

Zaprezentowana przez Cicziszwillę wersja odbiega nieco od teatralnej, gdzie zazwyczaj pokazuje się w s y s t k o. Obecne przedstawienie telewizyjne eksponuje głównie dramat Arbenina i jego duchowe rozterki. W ten sposób przedstawienie stało się bardziej jednolite dramaturgicznie, a dzięki Zbigniewowi Zapasiewiczowi — wydarzeniem artystycznym. Nie zawiodła Cicziszwillę intuicja: dla takiego aktora jak Zapasiewicz bez obawy można było przyjąć taką koncepcję.

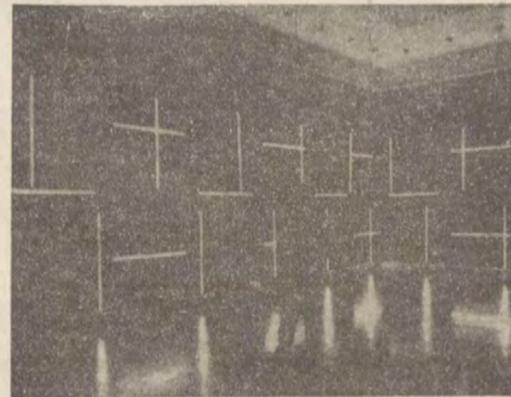
### PAMIĘTNIK Z POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

Chciałbym się tu przyłączyć do tych głosów krytycznych, jakimi skwitowano powtórzenie „Pamiętnika” Mirona Białoszewskiego w reżyserii Lidii Zamków w drugim programie. Utwór jest niełatwy, to prawda. Książka też, ale zdobyła sobie dużą popularność i laur czytelniczy dla autora. Skąd więc obawa, że przez publiczność programu pierwszego nie zostanie zrozumiana? Zaryzykowałbym twierdzenie, że utwór Zamków nie musiałby być w pełni zrozumiany, ale co z tego? Ta przejmująca, bolesna i refleksyjna opowieść o jednym z naszych narodowych dramatów winna być zaprezentowana odpowiedniemu audytorium.

JAROSŁAW TARNO

## PLASTYKA

# François Morellet



„sztuki plastyczne powinny umożliwić widzowi znalezienie tego, czego sam pragnie, to znaczy tego, co sam sobą wnosi. Dzieła sztuki są zakątkami do rozłożenia się z piknikiem, są hiszpańskimi oberżami, gdzie zjada się to, co się z sobą przyniosło”.

François Morellet

Ryszard Stanisławski otwierając wystawę prac Morelleta w Muzeum Sztuki specjalnie położył nacisk na fakt, że jego twórczość „opierająca się na przesłankach poddanych prawom ścisłej logiki i konsekwencji matematycznego myślenia”, że sztuka dokonująca się w kategoriach neutralności dzięki czemu wyobraźnia matematyczna uzyskuje w niej „ekwiwalent plastyczny o przekonującej sile oddziaływania” prezentowana jest nareszcie w Łodzi, więc w mieście, gdzie swego czasu Władysław Strzemiński dokonywał swych pionierskich doświadczeń nad malarstwem architektonicznym i użyzmem; „Dzieło Morelleta trafia więc na gruncie polskim na teren już przygotowany”.

Czy rzeczywiście grunt w tym względzie jest istotnie przygotowany w takim stopniu w jakim by życzył sobie tego dyrektor Stanisławski, czy czasem nie mamy tu do czynienia ze zjawiskiem „wórnego analfabetyzmu” na przykład — może być sprawą dyskusji. Miło jednakże słyszeć słowa dyrektora Stanisławskiego, wyrażające nadzieję, że dzieło Morelleta „stanie się bliskie tyr wszystkim, którym sztuka intelektualna dostarcza wciąż żywych doznań i owocujących inspiracji”. Zarówno nasza gościnność jak też wspólnota nam wszystkim (chyba tak bowiem jest w istocie!) — którym sprawy sztuki i humanizmu w ogóle nie są obojętne — chcę uczestniczenia aktywnego we wszelkich nowych tendencjach w skal globu usprawiedliwia w pełni satysfakcję wynikającą z nadziei wypowiedzianych w słowach dyrektora Stanisławskiego. Osobiście odnoszę wrażenie, że sztuka F. Morelleta trafi jednak na „grunt jałowy” i pozostanie nam jeno owa cudowna satysfakcja „głoszenia Francuza w Łodzi”. Obym był jednak w błędzie.

„Sztuka jest po to, aby nie mówić (lub mówić wszystko). Specjaliści, którzy mają o sobie wysokie mniemanie, spędzają piknik każdy na swój sposób, zaprzeczając jeden drugiemu i pozostając w sprzeczności z intencjami, które artysta mógłby sformułować”.

François Morellet

F. Morellet zajmuje „wybitną pozycję w sztuce francuskiej (...) należy do grona współtwórców światowego ruchu określanego mianem „nowe tendencje” czy też „sztuka programowana”.

F. Morellet w katalogu do swej wystawy wypowiada kilk. uwag na temat własnej twórczości a także i na tematy bardziej ogólne. Swoje działania w sztuce na przestrzeni lat 1926—1952 zatłwia dwoma słowami: „bez znaczenia”. Natomiast o tym, co dzieje się po roku 1952, isze: „Od 1952 roku tworzyłem przedmioty niepotrzebne (a zatem artystyczne), przyjmując jako stałą wytyczną postępowania ograniczenie do minimum moich arbitralnych decyzji. Wyłączyłem kompozycje, odebrałem całkowicie znaczenie wykonawstwa, a przede wszystkim zastosowałem rygorystyczne proste i jasne systemy; jedynym czynnikiem „fantazji” jaki dopuszczałem, było wprowadzenie czystego przypadku czy też uczestnictwa widza. Wszystko to z całkowitą obojętnością.”

Lecz od pewnego czasu specjaliści, zależnie od ich własnego temperamentu, odkrywają w moim „dziele” dokładność, radość, nihilizm, grozę, wirtuozerię, sceptycyzm itp. Przypomina im ono konstelacje planetarne, krople deszczu w kałuży wody, Magdalenkę Prousta itp.”

Jestem człowiekiem, który ma odwagę wyrażać własne przekonania... i sądy nawet, gdy są one sprzeczne z ogólnie przyjętymi. W świetle słów François Morelleta nie jestem „specjalistą”, nie posiadam „temperamentu”, nie odkrywam w jego dziele żadnej z przytoczonych przezeń rzeczy, które ponoć odkrywają tam inni, ani też żadnej w ogóle innej rzeczy. Natomiast nie lubię światła rosto w oczy — światło jest po to, aby oświetlać rzeczy, zdarzenia, świat co mnie otacza, gdyż ciągle jeszcze tonię On w mroku — natomiast nie jest po to, aby oślepiło mnie samego, nie pozwalając mi dostrzec nic dookoła.

ANDRZEJ GRUN

# POCZTA LITERACKA

## Ewa i Hanna z Pruszkowa.

Parę lat temu modna była poezja, która płynęła sobie niezbyt kontrolowanym strumieniem wierszy. Wielu poetów zdobyło nawet w tej poezji sławę. Pisało się wówczas (i czytało w prasie literackiej) wiersze-rzeki, w których nawet było wiele pięknych myśli, oryginalnych metafor i w ogóle wiele piękna. Płynęły jednak sobie te wiersze strumieniami skojarzeń często od Sasa do Lasa, bardziej przypominają poetycki notatnik, odręczny brulion niż skonstruowane konstrukcje poetyckie.

Przypomniały mi się tamte wiersze-rzeki po przeczytaniu Waszego utworu. Trudno mi odmówić pewnej szczyty poezji, ale bardzo to wszystko rozwiłkle, przegadane i niestety — banalne.

Przeczytajcie to sobie głośno:

„Co nam zostało? A może zaczniemy śpiewać?

Właściwie dlaczego nie, wszystko można, ale to już też zostało napisane

Twój zębaty uśmiech jest nachnieniem dla mojej wyjąłowej wyobraźni

CzERP, CZERP duszo pusta i myśl o śmierci...“

I tak dalej i tak dalej... W ten sposób można pisać bez końca, ale któż zechce to czytać?

**Adam z Łodzi.** W Pana wieku pisanie takich właśnie wierszy jest zjawiskiem normalnym i — powiedziałbym — bardzo pozytywnym. Oświadcza Pan, że w tych wierszach zawarł Pan swój pogląd na świat i życie. Sprowadzają się te poglądy do pytań i niepokoju o świat i Pana w nim miejsce. Z jednej strony to strasznie mało, ale nawet wielka poezja też nieraz sprowadza się do owego niepokoju i pytań.

Pozytywne w samym fakcie pisania przez Pana wierszy jest właśnie owo myślenie o parę sążni dalej niż myśli przeciętny siedemnastolatek. Dlatego żywię szacunek dla tego rodzaju prób — słowa te odnoszą się także od Ewy i Hanny z Pruszkowa. Pisze Pan, że tylko niewielu z Pana rówieśników potrafi powiedzieć o co chodzi w tych wierszach. Ma Pan widać wyjątkowo niewrażliwych kolegów, bo przecież te wiersze są bardzo prościutkie. Są to typowe wiersze młodego wrażliwego człowieka, napisane w typowy sposób. Niestety, nie jest to dojrzała poezja, nie zresztą dziwna, nie zdarzają się genialni młodzieńcy piszący, jest Artur Rimbaud, wspaniale głębokie wiersze w wieku lat siedemnastu.

Pyta Pan, czy pisać dalej. Ma Pan szansę, bo ma Pan wrażliwość i niepokój w sobie. Jeśli starczy Panu siła i upór, niech Pan kontynuuję. Reszta zależy od Pana.

**Henryk A. z Rudy Śląskiej.** Opowiedział Pan dwie historyjki — jedną sentymentalną, drugą obyczajowo-satyryczną. Obie bardzo banalne, ale sporo w nich ciekawych obserwacji z codzienności. Myślę jednak, że zasadniczą wadą tych opowiadań jest ich naskórkowość. Sprawiają wrażenie — zwłaszcza „Muchy“ — frag-

mentu pamiętnika, napisanego co prawda prosto i bezpretensjonalnie, ale też bez jakiegokolwiek próby nadania tym tekstom walorów literackich. Żadnej próby pogłębienia, żadnej syntezy — ot, historyjka, co się wydarzyło na wizycie u rodziny. A nie wydarzyło się nic szczególnego, po prostu żona nie chciała jeść chleba, bo chodzili po nim muchy. Trochę to za mało jak na opowiadanie.

O wiele ambitniejsze jest opowiadanie „Nad grobem“. Niestety razi ono zbytym sentymentalizmem. Bohater pije wódkę na grobie kolegi ma wyrzuty sumienia, że kolega zmarł przez niego. Może to i prawdopodobne, ale banalne.

## KRYTYK



# § GORYCZ LEKKIEGO CHLEBA

Czytelnicy pamiętają sprawę nazwaną „afetą mączną“. To sprawa-seria. Oskarżeni w kilku sprawach zostali już osądzeni, a nowe akty oskarżenia wpłynęły do sądów. Zaczęło się od piekarni nr 21 Łódzkiej Zakładów Przemysłu Piekarniczego, w której produkowano pieczywo poza ewidencją, następnie sprzedawano je nielegalnie w punktach sprzedaży detalicznej. W śledztwie wyszło na jaw, że nie tylko ta piekarnia, ale wiele innych (także ciastkarnie) trudniły się ponadnormową produkcją na ogromną skalę, a setki tysięcy złotych ułاتیły się z gospodarki zbożowo-piekarniczej na rzecz zorganizowanej, potężnej szajki, której członkowie działali w kilku „resortach“: przemysłu zbożowo-młynarskiego, transportu zakładów zbożowo-młynarskich i piekarnictwie.

Magazyn centralny Łódzkiej Zakładów Przem. Piekarniczego zajmował się zaopatrywaniem poszczególnych zakładów produkcyjnych w mąkę nabywaną z państwowych młynów w Łodzi i województwie. Od 1966 r. zmianowi magazynierzy oraz brygadziści zorientowali się, że w kilku młynach tworzy się nadwyżki mąki przez fałszowanie danych co do wilgotności ziarna i mąki (w trakcie przemiatu). Był może orientacja ta miała źródło w kontaktach z kierownikami z Bazy Transportu Zakładów Zbożowych, a może gdzie indziej, dość, że z kierownikami doszło do szybkiego porozumienia na temat kupowania mąki z nadwyżek. Płacił im po 100 zł za worki o wadze 70 kg. (Cena mąki wynosiła 5 zł za 1 kg). Magazynierzy i brygadziści natychmiast odprowadzali mąkę dalej — pracownikom Przedsiębiorstwa Transportu Handlu Wewnętrznego nr 3 w Łodzi, które dostarczało mąkę do piekarni. Pracownicy-kupcy sprzedawali z kolei mąkę w cenie 300 zł za worki kierownikom — wytwórcom. I z tej mąki pochodził pieczywo zwane pozaewidencyjnym.

Machinacje z wilgotnością ziarna i mąki nie były jedyną formą tworzenia nadwyżek mąki — duża była pula przestępstwa brygadziści magazynu centralnego odsypywali z worków tam gromadzonych po 1-2 kg, jeżeli okazało się, że waga rzeczywista była wyższa od zadeklarowanej w dokumentacji dostaw. W zależności od „potrzeb“ — razem lub indywidualnie — rozprawali worki, odsypywali mąkę i składowali ją w osobne worki 70-kilogramowe, ukrywając je skrzyniach do przyjazdu konwojentów. Potem sprzedawali mi za 200-300 zł, w zależności od gatunku.

W piekarniach też tworzono nadwyżki i sprzedawano je. Można powiedzieć, że „kurzyło się“ mąka w dwóch kierunkach — z młynów do piekarni, z piekarni do innych — prywatnych także — ruch był przepiękny i nielegalnie przedsiębiorstwo wytwórczo-dostawczo-piekarnicze funkcjonowało przez siedem lat, wykazując ogromną rentowność. Inaczej mówiąc — przysparzało gospodarce zbożowej i piekarniczej milionowych strat.

Następny akt oskarżenia, który przekazano do sądu, zawierał dziewięć nazwisk. Ostatnie należą do dyspozytora Przedsiębiorstwa Transportu Handlu Wewnętrznego nr 3 (bez zawodu, 7 klas szkoły podstawowej). Jest to na wyraźne życzenie brygadziści tegoż przedsiębiorstwa zapewnili coś w rodzaju stałego utrzymywania za powierzenie im pracy, związanej z dostawami mąki, pieczywa i wyrobów cukierniczych. Chodziło o określone dostawy do określonych piekarni, bądź sklepów detalicznych. Przez prawie 7 lat dostawcy wręczili dyspozytorowi przeszło 190 tys. złotych.

W różnych okresach czasu składy osobowe przestępczej wspólnoty zmieniały się doraznie, ale trzon pozostawał zawsze ten sam. Trudno było doliczyć się, ile kto i w jakim czasie ukradł i skąd ukradł. Wyjaśnienia podejrzanych nie pokrywały się ze sobą. Jedni mówili szczerze, ile to worków mąki wywieźli z magazynu, a inni podawali znacznie mniejsze ilości. Mając na uwadze rozbieżności i wątpliwości, które należały, zgodnie z zasadą naszego prawa, zawsze tłumaczyć na korzyść oskarżonych, oceniono działalność osmiu osób na 1.800 tys. zł. To znaczy tyle pieniędzy, warte są znaczne ilości mąki pszennej oraz pieczywa zagarnięte przez nich na szkodę Łódzkiej Zakładów Przemysłu Piekarniczego (9 piekarni), Państwowych Zakładów Zbożowo-Młynarskich i Piekarni Garnizonowej.

Bezkarnie grasowanie tej grupy można zawdzięczać w największym stopniu mierzdy dyspozytorowi PTHW nr 3 — Józefowi S. Pracował w tej placówce od 1961 r. Przez cały czas podlegał mu pracownicy transportowi — konwojenci, ładowacze i kierownicy, którzy zajmowali się przewożeniem mąki od dostawców do Łódzkiej Zakładów Przemysłu Piekarniczego. Józef S. przydzielał brygadzom tras, trasy przewozu i pojazdy. On już w 1965 r. zaobserwował, że niektórzy pracownicy nawiązują dziwne kontakty z kierownikami poszczególnych piekarni, młynów, że przewożą im mąkę...

Zainteresował się tymi kontaktami. Powiedział kilku pracownikom o swoich spostrzeżeniach i... zażądał od nich tapóweczek za „przydzielanie oczu“ a potem za przydzielanie tras, jakie jeździły w geografii ich nieczystych interesów. Zgodzili się na to o choczko — na haracz składowy po 100 zł od osoby. Dostawał co tydzień 300 zł albo i więcej. I pilnował swojej ceny za milczenie. Jeżeli zdarzyło się, że był chory, składkę odbierał jego... nieletni syn.

Dziś syn ma 18 lat. Z całą świadomością przeżyje kleskę niesławny ojca, który sprzedał uczciwość za złodziejskie pieniądze. I nie tylko syn Józefa S. trawidła będzie palącą gorzyc wstydu. Inni oskarżeni mają także dorosłe lub dorastające dzieci.

ZOFIA TARNOWSKA

# POWIĘKSZENIA

## PARADA TYTUŁÓW

„Głos Robotniczy“: „Języki nie spadają z nieba“.  
„Dziennik Łódzki“: „Głód leczy i odmładza“.  
„Express Ilustrowany“: „Rita Haywarth, Monika Vitti i M. Mastroloni w LDK“.

## SPIS RZECZY

Najpierw w „Trybunie Ludu“, potem w „Odgłosach“ Jan Okopień przedstawił plan wydawniczy książek na rok 1974. Obecnie w „Przeglądzie Księgarskim i Wydawniczym“ publikuje już drugi odcinek bogatej listy przygotowywanych lektur.

ciąg dalszy pewnie nastąpi. Tylko gdzie?

## MEMUARY

Kazimierz Deyna opublikował swoje wspomnienia w „Przeglądzie Sportowym“. W „Expressie Ilustrowanym“ czytaliśmy już wspomnienia Jana Tomaszewskiego, teraz zwraca się Kazimierz Górski.

Zważywszy, że w drużynie polskiej kadry mamy 11 znakomitych piłkarzy oraz paru rezerwowych, czeka nas jeszcze spora porcja pasjonującej lektury pamiętnikarskiej.

Tylko, czy to, aby panowie nie za wcześnie?

## ODPOWIEDZ

Grażyna Grzegorska stawiała w „Polityce“ konkretne pytania: „Dlaczego kobiety nie piszą felietonów?“.

Oto końcowy fragment rozważań autorki:

„Wiem, wymyśliłam mechanizm. Otóż, panowie redaktorzy, tak tak panowie redaktorzy, a nie państwo redaktorstwo, zapomniałem widać, o teorii względności i w dalszym ciągu żyją w duchu starej epoki i kierują się teorią bezwzględności. Dobranoc, idę spać“.

Naszym zdaniem z odpowiedzią na tytułowe pytanie autorka nie powinna mieć żadnych kłopotów. Dobranoc.

## TEN CZAROWNY SEKS

Na łamach „Dziennika Łódzkiego“ Józef Potęga dzielił się wrażeniami z pobytu w Stacji Doświadczalnej Winifikacji w Odobieszni w Rumuni.

„Inżynier winifikacji Adriana Namoloseanu jest wysoka, szczupła szatynka, o wielkich oczach i pięknych dłoniach i promienieje tym wszystkim co, mężczyźni, naprawdę cenią najbardziej: serdecznością, ciepłem, i tym czarownym seksem, który nie może być nachelany... Adriana nalewa z dzbanka do wysokich kieliszków...“

Mamy nadzieję, że po drugim dzbanku autor zmienił kolejność tego, co mężczyźni naprawdę cenią najbardziej.

## PYTANKO

W „Baedekerze studenckim“ na łamach „Dziennika Łódzkiego“ Zdzisław Szczepaniak pyta: „Gdzie student ma swoją władzę?“

Oj, filu!

## WEZWANIE

W „Życiu Pablanie“ przeczytaliśmy: „GOSPADARZU! skóruj wszystkie ubijane zwierzęta“. Wszystkim, którzy chcieliby złożyć gratulacje twórcom nowego, dwięczonego hasła podajemy adres i telefon: Łódzkie Przedsiębiorstwo Obrótu Surovcami Włókienniczymi i Skórzanymi, tel. 584-60.

# TAJEMNICE FENICJAN

Książki traktujące o zwyczajach, życiu, historii starożytnych ludów, cieszą się niesłabnącym powodzeniem. W niektórych przypadkach stają się światowymi bestsellernami. Ostatnio dużą poczytnością cieszy się w NRF dzieło telewizyjnego dziennikarza Gerharda Herma pt. „Fenicjanie“.

Zebrał on starannie wiadomości o życiu, historii i obyczajach starożytnych Fenicjan, tego najbardziej ruchliwego ludu sprzed kilku tysięcy lat.

Fenicjanie zamieszkiwali na wąskim pasie wybrzeża nad Morzem Śródziemnym u stóp Libanu. Kraina ta chlubiła się licznymi bogatymi miastami takimi jak Tyr, Sydon, Berytos, Byblos, Ugarit przy czym dwa pierwsze były potężnymi, jak na ówczesne czasy, ośrodkami handlu i rzemiosła. Fenicjanie nie stworzyli nigdy jednolitego organizmu państwowego. Każde

z ich miast było równocześnie jakby państwem, samodzielnym i rządzone przez grupę kulturalną oligarchii. Fenicja jakkolwiek była potęgą ekonomiczną i kulturalną ulegała silniejszemu sąsiedom, a w ósmym wieku przed n.e. traci swą niezawisłość.

Fenicjanie w wysokim stopniu rozwinęli rzemiosło, zwłaszcza artystyczne, ale znani byli przede wszystkim jako kupcy i żeglarscy. Doprowadzili sztukę budowy okrętów do perfekcji. Byli też znakomitymi architektami. Bliższe dane co do pochodzenia tego ludu nie są znane. Nie pozostawili swej historii pisanej, więc główna rola w odтворzeniu dzieł tego starożytnego ludu przypadła archeologom, którzy na podstawie znalezisk i prac wykopaliskowych na terenie Syrii i Libanu, próbują odtworzyć historię, obyczaje i religie Fenicjan. Odczytuje się też wiadomości o tym ludzie z przekazów starożytnych Żydów, Greków i Rzymian choć są to zazwyczaj informacje tendencyjne lub niekompletne.

około 310 p.n.e. dotarli do nas przekaz o ofiarowaniu dzieci na całopalenie w obrzędach religijnych. Właśnie w wymienionym roku spalono 200 dzieci najznakomitszych rodzin kartagińskich. Według greckiego historyka Diodora zamiast własnego dziecka można było ofiarować inne, kupione. Według tegoż Diodora ofiary te składane były bożkowi Baal. Jego posąg był tak przemyślnie skonstruowany, że dzieci po jego rękach skierowanych ku ziemi, zjeżdżały jak na zsuwie, w rów wypełniony ogniem. Interesującym zwyczajem była też prostytucja związana u Fenicjan z religijnymi uroczystościami. I tak np. w Byblos w święto orgii urządzanych na cześć boga wetergetacji Adonisa kobiety musiały albo ogolić sobie głowy do gołej skóry, albo przez cały dzień obcym przybywającym do miasta „sprzedawać swą młodość“. Zdaje się, że raczej były skłonne do spełnienia tego drugiego obowiązku. Oplata za stosunek seksualny składana była przez cudzoziemców do kasy fenickiej Afrodyty (Astarte).

Cywilizacja nasza zawdzięcza Fenicjanom po dziś dzień dwa ważne wynalazki — produkcję przezroczystego szkła i alfabet. Szkło znane już było wcześniej w starożytnym Egipcie, ale Fenicjanie udoskonalili w znacznym stopniu jego

jąkosć. Jeśli zaś chodzi o alfabet to wiadomo, że iacznik opierał się na greckim, ten zaś wywodził się z fenickiego. Przed wynalazkiem Fenicjan pismo składało się z wielu znaków. I tak egipskie hieroglify składały się z około 700 znaków, sumeryjskie pismo klinowe miało ich aż 2.000, Fenicjanie zaś wprowadzili je do 22 znaków oznaczających spółgłoski. Grecy dodali do tego pisma znaki samogłosek i w ten sposób powstał pierwszy całkowicie fonetyczny alfabet.

Książka Gerharda Herma o Fenicjanach cieszy się wielkim zainteresowaniem. Pierwszy nakład w wysokości 50 tysięcy egzemplarzy został w przeciągu zaledwie kilku tygodni całkowicie wyczerpany. Przygotowywane jest w tej chwili drugie wydanie. Prawa do tłumaczenia wykupiły już wydawnictwa w Anglii, Stanach Zjednoczonych, Włoszech i Holandii.

JANUSZ SKOSZKIEWICZ

## CZTERY POKOLENIA

Kto wie, czy film ten nie wzruszył mnie bardziej dziś niż przed laty. „Pokolenie” Andrzeja Wajdy — pierwszy film wybitnego artysty, pierwszy film skazony jeszcze nieco stylistyką włoskiego neorealizmu, skazony widzeniem spraw skomplikowanych na modłę lat pięćdziesiątych... Ale przecież wzruszający i piękny film.

„Pokolenie” Wajdy, oparte na powieści Bohdana Czeski, jest opowieścią o tamtym wojennym pokoleniu. O młodych żołnierzach — robotnikach z Gwardii Ludowej, o starych komunistach, którzy przekazują młodym proste i wielkie prawdy. I tę prawdę najświętszą — jak z tej wojny, z tego strzelania do ludzi wyjętym, niezbrukowanym, nieokaleczonym psychicznie... Jakie prawdy moralne trzeba w so-

bie utrwalić, aby strzelając do ludzi w imię świętej Sprawy nie uczynić z tego strzelania okrutnej zabawy.

„Ty głupi kowboju” — mówi bohater filmu do chłopaka, który zafascynowany i przerażony zabiciem zbira w czarnym mundurze SS chce tę śmierć i własne przerażenie obrócić w żart. A przecież żadnej śmierci w żart obracać nie wolno...

Ale „Pokolenie” Wajdy to także film o innym pokoleniu. To także film o pokoleniu tych, którzy w połowie lat pięćdziesiątych wchodzili w obszary polskiej sztuki filmowej. Czy ktoś dostrzegł te małe litery literki czołówki — „asystent reżysera — Kazimierz Kut?”

Albo ta pierwsza scena filmu. Chłopcy grający w noża i ten zanoszący się śmiechem chłopak. Zbyszek Cybulski, jego pierwsza rola, właściwie nie rola jeszcze, zaledwie statystowanie. I potem ten skok — efektowny filmowo skok do

pedzającego pociągu... Ten pociąg jak kłamra spina życie Zbyszka Cybulskiego — jego pierwszy filmowy skok, wykonany z kaskaderską brawurą — i potem, po latach ten ostatni, tragiczny skok na wrocławskim dworcu...

Młodzieńcy aktor grający w „Pokoleniu” główną rolę — dziś rektor Wyższej Szkoły Aktorskiej w Warszawie, Tadeusz Lomnicki. Jak bezbłędnie trafił Wajda przed dziesięć laty, przecież ten młodzieńcy aktor już wówczas był znakomity. Jak to się wszystko sprawdza w pierwszym geście — jak miłość od pierwszego wejrzenia, jak pierwsza spontaniczna, intuicyjna jeszcze ocena nieznanego człowieka...

Jaka dojrzałość aktorska w pierwszej roli Tadeusza Janiczara, jaką trudną, bo bardziej skomplikowaną niż główny bohater, postać zbudował ten „zielony” wówczas aktor... I jeśli mówi się nieraz o genialności Wajdy — reżysera, to przecież w tym jego pierwszym filmie są oznaki owej genialności. Ileż wrażliwej intuicji trzeba, aby bezbłędnie trafić w masie debiutantów na tych właśnie, którzy po latach tworzyć będą współczesne polskie aktorstwo.

A ten chłopiec w krótkich majtkach, statystujący właściwie w paru scenach? Roman Polański — nazwisko owiane legendą nie tylko zbrodni na Sharon Tate, ale przecież filmów o światowym rozgłosie... Roman Polański, czupurny,

brzydki chłopak z ulicy Narutowicza w Łodzi.

„Pokolenie” Wajdy jest więc nie tylko dokumentem o wojennym pokoleniu młodych gwardzistów. Jest to także dziś — po dziesięciu latach — dokument wstępującego pokolenia polskiego filmu, tego pokolenia, z którego wzięła swój początek słynna przed laty „polska szkoła filmowa”.

Nie poprzedzono telewizyjnej projekcji „Pokolenia” żadnym słowem wstępnym, nie powiedziano młodym widzom ani słowa o tamtych latach czterdziestych, o których opowiada film, ani o latach pięćdziesiątych, w których powstał. Tym, którzy oglądali „Pokolenie” z wypiekami na twarzy w roku 1955, taki komentarz nie był potrzebny, ale w ciągu tych prawie dwudziestu lat wyrosło już czwarte pokolenie.

Tak jest — czwarte. Pierwsze walczyło w latach czterdziestych, drugie zrealizowało o nim film, trzecie (moje) ten film przeżywało i przeżywa... Czwarte pokolenie to pokolenie mojego syna. Chciałbym, aby to czwarte pokolenie nigdy nie musiało strzelać do drugiego człowieka, ale chciałbym też, aby mogło i umiało przeżywać tragedię i heroizm „Pokolenia” z filmu Wajdy.

WIDOK

ANDRZEJ GRUN

FRYZURY



## LEWYM OKIEM!

## DZUMA I TELEWIZOR

Czy pamiętacie, jak powstał zbiór opowiadań najbardziej pikantnych w klasycznym arsenale światowej literatury, dowcipnych, pełnych bujnej, południowej radości życia — jak powstał „Dekameron”? Oto z powodu epidemii dżumy we Florencji w 1348 roku spotkało się nieopodal tego miasta, w Fiesole, większe towarzystwo w obozie kwarantanny, w którym elegancy panowie i zalotne damy nudzili się jak mopsy. Siedząc na tej kwarantannie zabawiali się dla zabicia czasu wymyślaniami uczesanych historii. Dziesięć co bardziej elokwentnych osób wydumało wówczas sto takich

opowiadań, potem spisał je florencki kupiec i dworzaniec Bocaccio — no i mamy do dziś „Dekameron”. Dzięki dżumie!

Mimo setek lat, niezmordowanej walki z chorobami epidemicznymi, do dziś jeszcze zdarzają się nagłe wybuchy tego czy innego świństwa w najróżniejszych punktach globu, jak chociażby aktualna seria zachorowań na cholera we Włoszech. Nie są to tematy do żarcików i nie będziemy żartować ani z tej, ani z żadnej innej cholery. Ale znów niezbędne są stają miejsca odczekania, odosobnienia, kwarantanny. Znowu spotykają się tam

przypadkowi ludzie i — i co robią? Wymyślają „Dekameron”? Nie nie wymyślają.

W takich wypadkach patrzy się w telewizor albo rżnie w brydza. Albo rżnie się w brydza przy telewizji. Sami wiecie, że słuchanie z boku grających karcarzy i ich wzajemnych odzywek to jest męka do szczeniaku, to jest tortura belkotu, nieartykułowanych pomruków i nagłych i nieczym widocznym nieuczadnionych manifestacji uciechy, złości lub gorczy. Tam się nie mileży, tam się nawet czasem mówi bez przerwy, ale zapis tej mowy byłby koszmarem.

Poważna i bogata w redakcyjne pomysły „Polityka” zwróciła się niedawno z pytaniami do wielu znanych osobistości, zwłaszcza do panów literatów, co sądzą o pisaniu listów? Takich zwyczajnych, prywatnych, czasem intymnych listów, które — gdy ich autor stanie się w jakiejś dziedzinie znakomitością — ogłasza się publicznie, rzuca na rynek, powiela setki tysięcy razy jako dokument, dzieło sztuki, okno w czyjś wnętrze, klucz i komentarz do zawsze frapujących, ludzkich losów?

Literaci stanowili może nie najlepszy adres takiej ankiety: to przecież zawodowcy, co dla nich pisanie? Odpowiedzieli licznie a różnie, na ogół apoteozując dawne czasy, bo były pełne pięknych korespondencji, w przeciwieństwie do dni dzisiejszych, gdy korespondencje zastąpił telefon i w ogóle — znacznie łatwiejsze i liczniejsze spotkania osobiste (komunikacja). Ale też tylko w dawnych, listowych czasach mógł się zdarzyć i prosperować taki literat, który na zlecenie króla Ludwika XIV pisał w jego imieniu miłosne listy do panny la Valliere, a na zlecenie tejże panny, nie wiedzącej oczywiście o nim, odpisywał również miłosne listy do królowi. Nie wiem, czy kiedykolwiek wydano „Listy Ludwika XIV” i czy były pomiędzy nimi również te prace zleczone dworskimi pisanymi. Kto wie, czy takich prac nie znalazłoby się multum w różnych „Listach zebranych”?

Największy kłopot jednak nie w tym, że telefon i brydż i telewizja. Gorzej, że przy niezmiernej, rozpiętej poza wszelkie granice wytrzymałości orgiel gadulstwa, nie umiemy mówić po ludzku. Nie umiemy formu-

lować myśli, albo ich mamy na własność, osobiste, prywatnie — za mało, albo nie chce nam się ich nikomu szczerze i ściśle przekazywać. Takie to trudne — a właściwie po co?

Do relacjonowania byle zdarzenia — z rzędu tak zwanych obiektywnych, a więc dokładnych: zdarzenia, a nie: przeżycia — jest każdej chwili cały legion chętnych nadgorliwców, wyskakują na wyprzedki, każdy z własną historią. Ale co też to za relacjonowanie! Prawie taka sama seria nieporadnych słów, porowanych na strzępy zdań, jak przy brydżu przed telewizorem. Zapis takiej mowy — to koszmarny. Wystarczy raz posłuchać się magnetofonem. Odczytania taśmy nie da się wytrzymać dłużej niż pięć minut, nawet kiedy, pożałujcie Boga, mówca wiedział, że go nagrywają. Siedzieć z takim sześć tygodni na kwarantannie bez telewizora — co?

Albo pisać do takiego listy. Nie odpowie wcale, mało kto odpowiada, to się widać w żadnym sensie „nie oplaci”, inaczej mówiąc: nie jest nikomu do szczęścia potrzebne. Dlatego — i to będzie nasz skromny udział w ankiecie „Polityki”:

niechaj ci, którzy to potrafią i cenią i lubią, jak najwięcej do siebie piszą. Niech przechowują otrzymane listy, niech je wiążą wstążeczkami i układają w regałach, nie bacząc na to, że z naszych dzisiejszych gatunków papieru i tuszu z naszych ręko- i maszynopisów nie zostanie za pół wieku nic prócz sterty stęchłej, bladej bibuły, że regały zapadną się pod dwoma kompletami listów, a na trzeci i tak zabraknie miejsca, że nie ma w naszych domach szans na dyskrecję, a to znaczy także — szans na korespondencję nie przeznaczoną dla dzieci, mężów, żon i teściów. Niechaj jednak piszą, może co setny, co tysięczny zbiorek gdzieś ocaleje, może ktoś go kiedyś zdola odczytać, może chociaż ten zbiorek zażywdzi i tak zabraknie miejsca, że oprócz milionów ton zadrukowanego papieru, oprócz nieustannego wrzasku tysięcy radiowych rozgłośni, było w niej miejsce także na zwyczajne, ludzkie, mądre, czyste słowo skierowane do człowieka, a nie do widowni.

ĆWIK

## PRZECZYTAJ SIĘ

## ZAPIS ZDARZEŃ

Czwarty i ostatni już tom „Pamiętników” Bolesława Limanowskiego różni się od poprzednich. Nie spotykamy w nim już tej szerokiej, potocznej narracji, która cechowała dotychczas pamiętnikarstwo autora. Przeważa suchy, krótki opis zdarzeń, pozbawiony literackiej ornamentyki, a nieraz i komentarza. A przecież ów dziennik, prowadzony przez B. Limanowskiego, między 84 a 93 rokiem życia, jest tekstem o szczególnej wartości. Pozwala on nam poznać, jak człowiek, uważany przez

współczesnych za patriarchy polskiej demokracji, w której długiej działalności sprawa niepodległości zajmowała zawsze miejsce naczelną, jak B. Limanowski spoglądał na polityczną rzeczywistość w nowej, odrodzonej i niepodległej Polsce, tej, która zdawała mu się być zrazu ucieleśnieniem marzeń i pracy całego życia, a przecież jak daleko odbiegała od wyśnionego ideału.

Pamiętnikarski zapis obejmuje lata obfitujące w doniosłe wydarzenia, dotyczy bowiem okresu od 1919 do 1928 roku, obejmując pierwsze dzie-

się lat II Rzeczypospolitej. Mimo sędziwego wieku, B. Limanowski nie wycofał się wówczas z działalności politycznej, nadal związany był z ruchem socjalistycznym. Podobnie jak wielu ludzi ówczesnej umiarkowanej lewicy, przez długi czas żywił złudzenia co do postaci i polityki J. Piłsudskiego. Mimo jednak całego swego idealizmu, niekiedy nawet pewnej naiwności, nie porzucił przecież swych dawnych ideałów. Coraz bardziej krytycznie oceniał zmieniającą się polityczną rzeczywistość.

Kiedy J. Piłsudski, z którym utrzymywał jeszcze dobre stosunki, powiedział mu w 1919 roku, że nie należy już do „partii”, ale „do narodu”, B. Limanowski zapisał: „Słowa te zmroziły mnie. Już poprzednio zaczęło mnie razić jego antysojalistyczne rozmiłowanie się w militarystyce. Zdaniem moim, porzucenie partii, do której się należało, oznacza wyzalenie się swoich przekonań. Można nie należeć do organizacji konspiracyjnej, ale moralnie czuć się z nią połączonym”. Polityczny krytycyzm starego demokracja narastał jeszcze przed zamachem majowym, wydarzenia jednak 1926 roku stanowiły punkt zwrotny w jego poglądach. „Do 1926 roku

— pisał niedawno M. Zychowski — Limanowski głosił chwałę i kult Piłsudskiego; przejrzy, gdy jego wymarzony Sejm, parlament, będzie brutalnie deplany przez pułkowników na czele z „Brygadierem” — marszałkiem Piłsudskim”.

Zwzięte, suche notatki dziennika sędziwego działacza, mówią nieraz więcej, niż głośne enuncjacje. Pod datą 29 maja 1926 roku B. Limanowski notuje:

„W wywiadach, jakie czynią u Piłsudskiego, wciąż wyjawia (on) wrogość przeciwko podziałowi na stronnictwa. Tymczasem gdyby Piłsudski nie należał do stronnictwa, które dało mu możliwość wykazania się w czynach, nie doszedłby z pewnością do dzisiejszej swej popularności”.

Notatka z czerwca: „Przynosząca (gazety) kobieta mówiła, że ten „Robotnik” został skonfiskowany. Byłby to dowód, że i nowy rząd nie lubi prawdy”.

W kilka dni później: „Naczelny Komitet Wykonawczy PPS w „Robotniku” wzywa lud, ażeby w dzień 27 czerwca zmanifestował przeciwko usiłowaniu przeprowadzenia wszechwładzy rządu”.

W początku następnego roku:

„Masowe aresztowania komunistów i Białorusinów budzą podejrzenia o ich prowokacyjny charakter. Czy nie toruje sobie rząd drogi do zmiany ordynacji wyborczej?”

Rok 1928: „Historycy warszawscy mianują Piłsudskiego członkiem honorowym. Przyneśli mi do podpisania — nie podpisałem”.

A w kilka dni później: „We wczorajszych rozprawach budżetowych Sławek zaparł się, by małpowali fałszywie”.

Coraz silniejsze akcenty krytyczne w stosunku do politycznej krótkowzroczności swych własnych towarzyszy. Dnia 1 sierpnia 1928 roku notuje: „Przeczytałem broszurę Daszyńskiego: „Wielki człowiek w Polsce”. Zanadto dużo wad widzi w narodzie polskim, by usprawiedliwiać popędy Piłsudskiego do władztwa absolutnego”.

Dziennik B. Limanowskiego urywa się na dacie 23 listopada 1928 roku. Prowadzenie systematycznych notatek sprawiło sędziwemu demokraci coraz większą trudność. Jedną z ostatnich jego zapisek, pod datą 16 listopada, rozpoczyna się od słów:

„Nieraz się zdawało, że już zbliża się zakończenie mego żywota. Opadały ręce do jakiegokolwiek czynności, nawet

czytanie stawało się trudem. (...)

A przecież działalności swej nie zaprzestał. W październiku 1928 roku ogłasza plamienną odezwę „Do robotników Warszawy”. W sierpniu 1929 roku kieruje swój słynny list do I. Mościckiego, skonfiskowany przez rządową cenzurę, następnie jednak opublikowany przez Sekretariat Generalny CKW PPS, będący wielkim oskarżeniem sanacyjnej władzy. Ostatnie lata swego życia poświęca politycznej walce...

„Życie, praca, poglądy i walka Bolesława Limanowskiego — pisze na zakończenie swej monografii M. Zychowski — to wielkie wartości humanistyczne. Płyne z nich jednak nauka, że nie reformatorskie działania, a tylko walka rewolucyjna mogła przynieść zwycięstwo masom pracującym. Czy pojął to Limanowski w ostatnich dniach swego życia, czy nauczyło go tego gorzkie doświadczenie? Zrozumieli tę wielką prawdę jego współtowarzysze i następcy: N. Barlicki, St. Dubois i inni, torując drogę do jedności klasy robotniczej we wspólnym szeregu z komunistami”.

LEKTOR